















**TRUCIZNA  
ZADANA SPÓŁECZEŃSTWU POLSKIEMU**

PRZEZ

**JERZEGO MOSZYŃSKIEGO**

CZYLI

**OWOCE ZAKAZANE**

PRZEZ

**konserwatywną i ugodową prasę warszawską**

**W KRAKOWIE  
NAKŁADEM AUTORA  
1898**

577

30468



119939

15501

W KRAKOWIE, W DRUKARNI «CZASU» FR. KLUCZYCKIEGO I SPÓŁKI  
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego



## PRZEDMOWA.

»Bez umiarkowanych nie możemy nic innego zrobić jak rzucić kilka bomb w miastach. Oni i tylko oni jedni mygliby zrobić rewolucyą.«

Te słowa pisał w roku 1864 do Mazziniego, Parezio, dyrektor dziennika rewolucyjnego *«l'Avanguardia»*.

Niestety, wiedzą o sile umiarkowanych najzagorzalsi apostołowie rewolucyjnego przewrotu, ale nie umieją jej nigdy ani uczuć, ani rozwinąć sami umiarkowani.

Jednym z powodów słabości konserwatystów, jest obawa przed wszelką krytyką własnego swojego obozu. Konserwatyści nie umieją tego dotychczas zrozumieć, że każda uczciwa krytyka, wyszła z ich własnego obozu, chociażby najsurowsza, byleby sumienna, jest nietylko zadatkiem postępu, siły i szlachetności, ale co więcej, jest najpewniejszą tarczą przeciw złośliwym napaściom nieprzyjaciół. Bo to pewna, że ten zawsze jest panem krytyki, kto pierwszy ujmie jej cugle w ręce i kto potrafi niemi opinią ku prawdzie kierować. Tego nie chcą zrozumieć nasi konserwatyści. Każdą krytykę uważają za objaw nieprzyjaźni i odstępstwa, za które

mszczą się, albo zabijając milczeniem własnych swoich wojowników, albo obrzucając ich napaściami, dowolnemi, nie opartemi na logicznym rozbiorze podstaw rozumowania krytyka. Uczciwa bowiem polemika wymaga koniecznie wykazania błędności dowodów i argumentów, na których opiera się zdanie przeciwne. Odpowiadanie na dowody ogólnikowemi wątpliwościami, nie jest polemiką, ale bałamuceniem opinii publicznej; odpowiadanie zaś na argumenta i dowody przemilczeniem, jest demoralizacją i zabójstwem opinii publicznej. Nie ma rzeczy zaraźliwszej, jak zawiść. Od czasu, jak w roku 1880 zdemaskowałem ówczesną emigrancko-studencką politykę Stańczyków, której pan St. Koźmian był jednym z głównych promotorów, zacięta zawiść tego dziennikarza nie spoczywała ani na chwilę i odzywała się tam nawet, gdzie sam interes polityczny powinien był mnie od niej zasłonić, jak n. p. w petersburskim *Kraju*, a w ostatnich czasach w warszawskim *Słowie*.

Oto cały szereg artykułów moich, które w dwóch ostatnich latach nie mogły znaleźć pomieszczenia ani w *Kraju*, ani w *Słowie*. Że pomimo wspólności dążeń naszych do zgody z Rosyą, liberalny *Kraj* nie chciał przyjmować większej części moich artykułów, że przetrzymywał je nieraz całemi miesiącami, by wreszcie mi odpowiedzieć, że ich nie będzie drukował, to rzecz prosta, bo przecież nie można żądać od pisma, stojącego na gruncie bezwyznaniowego liberalizmu, by popierało chętnie poglądy, oparte na konserwatywnych i katolickich zasadach; zrozumiałem jest to tembardziej, gdy się zważy, że redakcyja przetrzymując w nieskończoność takie moje artykuły, jak *«między młotem a kowadłem»* i takie broszury, jak *Audiat et altera pars*, lub



też przemilczając takie broszury, jak *Fizyologia szowinizmu*, mogła następnie na ich podstawie ogłaszać swoje pełne treści broszury, jak n. p. *Piotra Warty* »o chwili obecnej,« osnutej wręcz na rozwałkowaniu pewnych ustępów mojej *Fizyologii szowinizmu*. Ale co trudniej przychodzi sobie wytłómaczyć, to systematyczną opozycją przeciw przyjmowaniu moich artykułów i popieraniu mojego działania ze strony konserwatywnego *Słowa*. Dzisiaj odrzucone przez *Kraj* i *Słowo* moje artykuły, są już pod niejednym względem przedawnione, drukuję je jednak tutaj, by oddać pod sąd polskiej publiczności orzeczenie, czy tamując w kraju wpływ moich myśli i poglądów, postępowały sobie redakcye *Słowa* i *Kraju*, zgodnie z dobrze zrozumianym interesem zdrowego rozwoju opinii publicznej w naszym społeczeństwie. Do niedrukowanych dotychczas artykułów dołączam dwa, a mianowicie: »*Kilka słów w sprawie polemiki* «*Czasu*» z »*Hałyczaninem*«, oraz »*Kilka słów z powodu artykułów noworocznych gazety* «*Swiet*» i »*St.-Peterburgskija Wiedomosti*,« których ani *Kraj*, ani *Słowo* nie chciało pomieścić, a gdym je wydrukował w Krakowie i przeprowadził przez cenzurę, grobowem je pokryły milczeniem.

Kraków, 19 marca 1898

*Fersy Moszyński.*





I.

MIEDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

artykuł napisany

przez

JERZEGO MOSZYŃSKIEGO,

w Warszawie, 1896 r.



## Między młotem a kowadłem.

W ostatnich czasach rozbieraną była kilkakrotnie w prasie rosyjskiej kwestya stósunków rosyjsko-polskich. Szczera nieraz chęć u publicystów rosyjskich doprowadzenia ich do zupełnej harmonii, utyka najczęściej na braku dokładnej znajomości rzeczywistych uczuć i dążności tutejszego polskiego społeczeństwa.

Nie zbłądzą chyba twierdząc, że gazety rosyjskie przy poruszeniu polskich stósunków, wydzierają się zazwyczaj myślą po za granice państwa rosyjskiego, z czego wynika, że mówiąc o opiniach i usposobieniu tutejszego społeczeństwa polskiego, czerpią najczęściej swoje sądy z zagranicznych dzienników polskich, wydawanych w Krakowie, Lwowie lub Poznaniu, które także świecą zupełną niezajomością istotnych warunków życia polskiego w Królestwie Polskiem, znajomości bowiem życia społecznego nie można zyskać z odczytywanych za redaktorskim stolikiem korespondencyi, lub z rozmów z przejezdnyimi lub z turystami. Ten tylko może mieć o stósunkach krajowych prawdziwe wyobrażenie, kto się z nimi zróśł na polu pracy.

Wyświetlenie więc prawdy dostało się tu między młot a kowadło, dwóch sprzecznych z sobą prądów,



mających za jedyny łącznik wspólną nieznaną stósunków krajowych. Najczęściej więc zamiast światła, ogarniają prawdę coraz to grubsze ciemności, które tem trudniejsze są do rozpędzenia, że polskie zagraniczne gazety pisząc o Królestwie Polskiem, mają zazwyczaj na celu bądź to zyskanie poklasku prenumeratorów, bądź to wywarcie chwilowego wrażenia na wyborcach, bądź wreszcie podziaływanie na nerwy decydujących sfer w Wiedniu lub Berlinie. Sprawiedliwość nakazuje tu wyznać, że rosyjskie dzienniki nie ustępują im w niczem pod tym względem. Wprawdzie nie mają one wyborców, ale za to mają prenumeratorów i mają korespondentów, którzy bardzo często przedstawiają w niekorzystnem świetle stósunki polskie, dla przeprowadzenia osobistych swoich interesów lub zadość uczynienia uczuciom osobistych swoich niechęci. Że gazety rosyjskie wydają o społeczeństwie polskiem bardzo powierzchowne, nie ugruntowane na rzeczywistym stanie rzeczy sądy, dowiodła tego krytyka książki »Leliwy,« zamieszczona w *Nowoje Wremia*.

Dowiadujemy się z tej krytyki, że przebywający w Rosyi Polacy, mają bardzo wiele moralnych zalet; że Rosyanie umieją cenić ich zdolności, ich żywość umysłu, że żywią dla nich nietylko sympatyą, ale nawet szczerze pobratymcze uczucia. Niestety, kilkumilionowe społeczeństwo nie może dla zaskarżenia sobie tych uczuć, wsiąść do wagonów i odgrywać roli podróżyjących po Rosyi komiwojażerów. Musi ono gdzieś mieć jakiś własny, stały punkt oparcia, musi gdzieś czuć się u siebie, musi mieć jakiś własny grunt pod nogami i na nim użytecznie pracować. *Nowoje Wremia* więc konstatuje fakt, że to społeczeństwo ma swój własny kąt, ale niestety, dziwnem jakimś zrządze-

niem losu, jakby pod wpływem rószcзки czarodziejskiej, ci sami Polacy, którzy w Rosyi wydawali się tak sympatycznymi i utalentowanymi pobratymcami, stają się naraz u siebie w domu społeczeństwem przesadnych arystokratów i obłudnych komedyantów, dla których serce Rosyanina nie potrzebuje nawet wysilać się na uczucie, nienawiści, skoro wystarcza mu ignorowanie i zachowanie lekceważącej obojętności.

Tak to, zdaniem tego rosyjskiego dziennika wygląda podstawa stósunków pomiędzy polskiem a rosyjskiem społeczeństwem. Poglądy te mogą służyć tylko za jedną więcej przestrożę, z jaką oględnością należy przyjmować artykuły dzienników za głos opinii publicznej.

Ani chwili nie wątpię, że tak stanowcza różnica w ocenie pojedynczych Polaków przebywających w Rosyi, a całego polskiego społeczeństwa na własnym jego gruncie, pochodzi głównie stąd, że o pierwszych wydaje sąd społeczeństwo rosyjskie, pracujące, czujące i myślące, o drugim zaś reporterzy dziennikarscy, potrzebujący zadrukować kilka szpalt dziennika, lub potrzebujący wyrzucić na swoich prenumeratorach pewne podniecające lub tendencyjne wrażenie. Czas byłby wielki, żeby kwestyą rosyjsko-polskich stósunków wyrwano raz z pomiędzy młota a kowadła dziennikarskich tendencji zarówno rosyjskiej, jak zagranicznej prasy, czas byłby wielki, żeby sięgnięto do poważniejszych podstaw wzajemnych stósunków, które mają niewątpliwie inną podstawę, jak ignorowanie i lekceważąca obojętność, zachowywaną przez Rosyą, względem społeczeństwa polskiego.

Takiemu przedstawieniu rzeczy przeczy przede wszystkim głos monarchy, w którym streszcza się



głos Rosyi zarówno urzędowej, jak społecznej. Od chwili wstąpienia na tron cesarza Mikołaja II, słyszało trzykrotnie ten głos społeczeństwo polskie. Słyszało w pierwszym manifeście zapewnienie dbałości o szczęście i pomyślność wszystkich ludów, składających wielkie cesarstwo rosyjskie, słyszało w przemówieniu do deputacyi polskiej, słowa życzliwości i poważania, słyszało wreszcie w fakcie amnestyi, przekreślającej nie-szczęsną przeszłość 1863 roku, słowa przebaczenia i zapomnienia. Lekceważącej obojętności nie mogło dosłuchać się nigdzie.

Tak jest! społeczeństwo polskie ma silniejsze podstawy do łącznej pracy ze społeczeństwem rosyjskiem, jak opinie tego lub owego dziennika.

Amnestya, jakoby gołębicą niosąca różczkę oliwną, stała się zwiastunką ostatecznego ukojenia się wód potopu. Wody zaczęły opadać do swojego poziomu, a społeczeństwo polskie ujrzało przy pierwszych wiosny promieniach, że z potopu tego wyszedł jeden jego skarb niewzruszony i silny: skarb ustalonego i zapewnionego bytu stanu włościańskiego.

Wzniosłe to hasło podniesienia ludu polskiego, hasło po tylekroć nadużywane z obydwóch stron wśród wezbranych narodowych namiętności, oby stało się teraz silnym węzłem wspólnych dążeń i wspólnej pracy społeczeństwa polskiego i rządu cesarskiego. Wspólna ta praca zbliży z pewnością najlepiej do siebie rząd i społeczeństwo, te dwa niezbędne czynniki pomyślnego rozwoju i zatrze resztę nieufności i uprzedzeń. Wśród zamętu potężnych zawiści, dynastya Romanów nie puściła ludu polskiego na cztery wiatry eksperymentów liberalnego doktrynerstwa i zdołała zachować organiczną jego siłę. Fakt ten pobudza do wdzięcz-



ności każde prawe polskie serce, a wdzięczność jest najsilniejszym węzłem pomiędzy społeczeństwem a tronem. To też żadne dziennikarskie lekceważenia nie przeszkodzą temu »szlacheckiemu i arystokratycznemu« społeczeństwu polskiemu do okazywania codziennym czynem swojej wdzięczności monarsze, przyczyniając się ze swojej strony wszelkimi siłami do podniesienia ludu wiejskiego, które było myślą przewodnią trzech pokoleń panującej cesarskiej rodziny.

Wolno redakcyi *Nowoje Wremia* wywlekać zbutwiałe i przez społeczeństwo polskie od lat trzydziestu trzech, zarzucone hasło politycznego mistycyzmu, ale to nie zdoła ani zmienić, ani osłabić faktu, że Królestwo Polskie dostatecznie dojrzało, by pojąć, iż pomyślność i szczęście społeczne zależy od nieustającej wewnętrznej pracy społecznej, a nie od ciągłych marzeń o łatwiejszych do tej pracy warunkach. Społeczeństwo tutejsze rozumie to, że praca tam tylko dobre wydaje owoce, tam tylko zdolną jest zażegnać grożące zewsząd społeczne niebezpieczeństwa, gdzie prowadzoną jest wspólnie z rządem. Jeżeli zaś korespondenci *Nowoje Wremia* piętnują mianem politycznego mistycyzmu szczerą wiarę w Boga; jeżeli piętnują tem mianem przekonanie, że siła pięści nie jest ani ostatecznym celem, ani ostatecznym wyrazem społecznego życia; że nie może ona być rozstrzygającym argumentem, ani prawdy moralnej, ani prawdy naukowej, ani prawdy społecznej, jeżeli słowem jednym za to zachowują względem społeczeństwa polskiego lekceważącą obojętność, że to nie przestało wierzyć wraz z Świętym Janem apostołem, że »*Wszystko, co się narodziło z Boga zwycięża świat, a to jest zwycięstwo, które zwycięża*

*świat, wiara nasza*« (list I.); to w takim razie możemy im tylko odpowiedzieć, łącząc się ze słowami ostatniej modlitwy Zbawiciela: »*Ojcze odpuść im, boć nie wiedzą co czynią,*« — a niewątpliwie spotkamy się w modlitwie tej ze wszystkimi szlachetnymi sercami i umysłami w Rosyi.

Warszawa, 12 kwietnia 1896 r.

*Jerzy Mossyński.*

II.

# ODPOWIEDŹ

JERZEGO MOSZYŃSKIEGO

na artykuł p. t. Aleksander Ostrowski

napisana przez

pana Ludwika Górskiego w N-rze 191 „Słowa”.

Łonion, 1896,





Jedną z największych wad naszego społeczeństwa, było zawsze granie w ślepą babkę z przeszłością naszego narodu. Nie możemy tego zrozumieć, że historia wtedy tylko może być szkołą, kształcąca w narodzie polityczny rozum, jeżeli się ją przyjmie taką, jaką ona jest rzeczywiście. Trzecia część wieku minęła już od nieszczęsnych wypadków ostatniego powstania. Wyroki Opatrzności złożyły już w grobie znaczną część ówczesnych kierowników narodowej nawy, a łaska monarchy rzuciła całun zapomnienia na straszne te chwile.

Pokoleniu naszemu pozostało w spadku ciężkie brzemie skutków szalonego bezrozumu politycznego naszych ojców i bezwzględny obowiązek skorzystania z twardej nauki przeszłości. Od obowiązku tego nie może nas uwolnić głęboka nasza cześć, dla szanowanego przez cały kraj i czcigodnego prezesa komitetu Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Wybaczą mi też łaskawi czytelnicy, że poważę się sprostować parę historycznych niedokładności, które wcisnęły się do artykułu p. t. *«Aleksander Ostrowski.»* umieszczonego w Nr. 192 *Słowa*, a powtózonego w znacznej części w Nr. 34 *Kraju*.

»Towarzystwo rolnicze« — twierdzi pan Ludwik Górski — »miało jedynie na celu przyczynić się do postępu

gospodarstwa i do ekonomicznego rozwoju wiejskiego społeczeństwa.

Że postęp gospodarstwa i ekonomiczny rozwój wiejskiego społeczeństwa nie był i nie mógł być w ówczesnym nastroju życia narodowego, ani *jedynym*, ani nawet głównym celem założycieli Towarzystwa rolniczego, dowodzi tego najlepiej zaraz następane zdanie, wypowiedziane przez czcigodnego autora:

»Społeczeństwo to« — powiada on — »po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II, zbudzone z długiego uspienia, potrzebowało pomocy i kierunku. Komitet Towarzystwa składał się z ludzi przewodniczących temu rozbudzeniu, ale takiemu moralnemu usposobieniu towarzyszy zwykle pewien stopień egzaltacyi. Ulegali jej też niewątpliwie niektórzy członkowie komitetu, egzaltacya ich jednak nie przekraczała granic ustawą zakreślonych...«

Jak wiadomo, społeczeństwo wiejskie w Królestwie Polskiem stało wybornie pod względem ekonomicznym w peryodzie poprzedzającym zawiązanie Towarzystwa rolniczego. Szczególniej zaś wysokie ceny podczas wojny krymskiej, stanowiły złote żniwo dla właścicieli ziemskich. Długi sen, z którego zbudziło się polskie społeczeństwo po wstąpieniu na tron cesarza Aleksandra II, był więc snem politycznym, a nie ekonomicznym, to też naród nasz obudzonym został w kolorze politycznych nadziei, które na rozmaitych ludzi rozmaicie działały, zarówno w kraju, jak na emigracyi. Dyplomacya Hotelu Lambert zdwoiła gorączkową swoją czynność. Czerwona emigracya pod wodzą Mierosławskiego, związanego najściślej zmi związkami »*z młodą Europą*« Mazziniego, zaciągnęła sieć swojej spiskowej organizacyi na młodzież i gorętsze żywioły kraju na-



szego. Z wyjątkiem Aleksandra Wielopolskiego, nie było w Polsce jednego człowieka, który nie byłby przekonany, że zbliża się chwila urzeczywistnienia wykołysanych ideałów polskiej niepodległości. Gdy młodzież i szaleńcy wpadali w matnię zastawioną na nich przez międzynarodowy rewolucyjny komitet, tak zwani poważni, poczuli się do obowiązku organizowania i wzmacniania społeczeństwa polskiego, by doprowadzić go szczęśliwie do tej upragnionej chwili, w której Polska, jak dojrzały owoc odpadnie od Rosyi, czyli mówiąc poprostu, by zachowując pozory legalności, nie przekraczając granic ustawą zakreślonych, przygotować społeczeństwo do wielkiego narodowego ruchu przeciwko Rosyi, jak tylko ta wplątana zostanie w wielką europejską krucyatę, której z naiwną wiarą wyczekiwano od Napoleona III. Do celu tego potrzebowano jakiegoś jawnego, legalnego ciała zbiorowego, jakiegoś centrum widomego, z którego możnaby dawać rozbudzonemu społeczeństwu pomoc i kierunek. W braku innego, chwycono się nie budzącego podejrzeń Towarzystwa rolniczego, w czem zresztą zaadoptowano tylko system przyjęty przed 1859 rokiem w Wenecyi i na Węgrzech. Że taki był główny cel Towarzystwa rolniczego i że takim, a nie innym być musiał wobec ówczesnych aspiracyi całego narodu, wobec znanych wieczeń politycznych pana Andrzeja Zamoyskiego, prezesa tegoż Towarzystwa, o tem wie każdy, kto sięga pamięcią w owe czasy i kto chce być w dobrej wierze sam z sobą.

Co do mnie, to jestem w tem szczęśliwem położeniu, że mogę się opierać na czemś więcej, jak na ogólnych wrażeniach, wyniesionych z tej epoki. Pamiętam bowiem wybornie, jak ojciec mój Piotr Moszyński

przyszedł uradowany do mnie i do brata mego Emanuela, by nam oznajmić szczęśliwą nowinę,

»że pozwolono na założenie w Warszawie Towarzystwa rolniczego, które wraz z Towarzystwem rolniczym krakowskim i poznańskim Towarzystwem przyjaciół nauk, będzie stanowiło ognisko przygotowujące z wolna naród, by przy nadarzeniu się poważnej sposobności mógł kiedyś z powodzeniem wystąpić do wielkiej walki o niepodległość.

Przypuszczać, że Towarzystwo rolnicze mogło mieć inny główny cel, może ten tylko, kto albo zupełnie nie zna ówczesnego stanu moralnego naszego społeczeństwa, albo w kim nieszczęścia krajowe i żal, że tak a nie inaczej się stało, zatarły pamięć minionych czasów.

Takie przypuszczenie jest zupełnie psychologicznie niemożliwym w warunkach, w jakich powstało Towarzystwo rolnicze. Jeżeli bowiem komitet jego poczuwał się do obowiązku przewodzenia narodowemu rozbudzeniu, to w tym jedynie wypadku możnaby uwierzyć, że naprawdę nie miał na celu przekraczania granic ustawą zakreślonych, gdyby, nie ograniczając się do formalnej legalności, wytknął sobie był, jako główny cel, doprowadzenie do zupełnej zgody Polaków z Rosją. Takiego jednakże programu nie miał ani pan Andrzej Zamoyski, ani jego współpracownicy, a najlepszym tego dowodem, że za ten właśnie program rzucili oni klątwę odstępstwa od narodowego sztandaru na Aleksandra Wielopolskiego, za ten program niechcieli przyjąć na członka Towarzystwa rolniczego jego syna Zygmunta, za ten program dotąd walczyli bez wytchnienia przeciwko margrabiemu, dopóki wraz z nim nie zagrzebali w gruzach przyszłości narodowej.



Chcąc uniewinnić Towarzystwo rolnicze za działalność jego w czasie 1860 — 1861 r. powiada czci-  
godny autor, że

»Spokojna organiczna praca nie miała u nas od la wielu powodzenia. Przeszkadzały jej zawsze: zewnętrzne polityczne okoliczności, marzycielstwo i niecierpliwość.

Poważam się sprostować to zdanie o tyle, że przeszkadzały jej nie tyle zewnętrzne okoliczności, jak brak wewnętrznego zrozumienia naszych konserwatystów, że spokojna organiczna praca nie może mieć nigdy powodzenia, jeżeli nie idzie w parze z dążeniem do zgodnego działania z rządem i nie przyjmuje za punkt wyjścia istniejącego politycznego organizmu. A, że takiej szczerzej dążności nie było ani w społeczeństwie ani w Towarzystwie rolniczym, dowodzi tego najlepiej użycie przez szanownego autora słowa *»niecierpliwość,«* które przecież tylko do politycznego oderwania się od Rosyi, a nie do poprawy orki, lub do zgody z rządem odnosić się w tej epoce mogło.

»Wśród podniesionego działalnością Towarzystwa rolniczego nastroju społeczeństwa« — powiada następnie pan Ludwik Górski — »zaszły wypadki wstrząsające politycznym porządkiem zachodniej Europy. Awanturnicza wyprawa Garibaldeggo z nieprzewidzianem powodzeniem wykonana, publiczne mowy i skryte konszachty cesarza Napoleona III, zasady i cele w *idees napoleoniennes* przez niego wygłoszone, wszystko podniecało umysły wrażliwej zawsze młodzieży i w końcu rzuciło ją w objęcia głęboko po za granicami uknutego spisku. Wśród tych okoliczności, niecierpliwość ruchliwszych żywiołów narodu, zamierzyła przenieść organiczną pracę Towarzystwa rolniczego na niebezpieczne pole akcji politycznej.«

Wybacz mi szanowny autor, że muszę znowu sprostować wyrażone tu zdanie. Awanturnicze wy-



prawy Garybaldego nie działały bynajmniej mimowolnie na społeczeństwo polskie, ale cała polska konspiracja od samego początku do samego końca była w najściślejszym związku z *«młodą Europą»* Mazziniego. Rozmiary tego artykułu i brak źródeł, których tutaj nie mam pod ręką, nie pozwalają mi wyczerpująco tego dowodzić, od czego powinienem być zresztą zwolnionym, wykazując to w tym roku dowodnie w obszernem dziele. Tu przytoczę tylko parę faktów na poparcie mojego zdania. Szkoła w Cuneo powstała pod patronatem Garibaldego; ukradzione listy zastawne z Banku polskiego, odwiezione były przez Bulowskiego do Mazziniego; Langiewicz, ten konserwatywny dyktator powstania zostawał, z Mazzinim w tak ścisłych stosunkach, że tenże w dwa lata po powstaniu, w roku 1866, wysyłając go w bardzo poufnej misji do Francji, dał mu list, w którym wyraża się, że oddawca tego listu generał Langiewicz jest moim najlepszym przyjacielem, można więc z nim mówić o wszystkim, jak gdyby ze mną samym. Tego rodzaju zaufanie u tak ostrożnego rewolucjonisty, jak Mazzini, nie zyskuje się z dnia na dzień. Dowodzi ono, że stosunki te musiały być już bardzo ścisłemi z czasów szkoły w Cuneo.

O tem, że powstanie polskie było kierowanem tą samą ręką, co wyprawy na państwo kościelne, wiedzieli doskonale współcześni, których tylko nie zaślepiła do szczętu rewolucyjna gorączka. Wiedział o tem ksiądz Kajsiewicz, wiedział o tem ksiądz Golian, czego najwyraźniejsze świadectwo znajdujemy w ich listach.

Co do wpływu Napoleona III, na wtrącenie Towarzystwa rolniczego i kraju na drogę rewolucyjną, to wypada nam się trochę dłużej zastanowić nad tym fa-

ktem. Zarzut ten, powtarzany stereotypowo prawie we wszystkich historyach wypadków 1860 — 1864 roku, dostąpił ostatecznie dogmatycznego uświęcenia przez »*Rzecz o roku 1863*« pana Stanisława Koźmiana.

Powołując się nań, jako na usprawiedliwienie Towarzystwa rolniczego, popełnia pan Ludwik Górski w każdym razie anachronizm. Towarzystwo rolnicze bowiem zostało rozwiązane w r. 1861, Napoleon III zaś, aż do wybuchu powstania, a nawet aż do zawarcia konwencji rosyjsko - pruskiej, nie wypowiedział ani jednej mowy, dzienniki jego nie wydrukowały ani jednego artykułu, któryby w najmniejszej mierze zachęcał Polaków do opozycji względem Rosyi i do powstania. Proszę przejrzeć *Czas* z tej epoki, a ten zbierał przecież skrzętnie każde słowo, dające nadzieję polskiemu rewolucyjnemu ruchowi — a przekonacie się szanowni czytelnicy, że prawie dzień za dniem cytował on artykuły *Monitora* i *Constitutionella*, powtarzające ciągle Polakom, że powinni polepszenia losu wyglądać od cesarza Aleksandra II, że powinni korzystać ze szlachetnych i szczerych jego zamiarów względem Polski, i przestrzegające ich bezustanku, by nie dali się wtrącić w powstanie, bo Francya potrzebuje przymierza z Rosyą i nie mogłaby im w niczem pomódz, gdyby się tego szaleństwa dopuścili. Inne głosy możnaby chyba napotkać w dziennikach nierządowych, głosy redagowane, jak n. p. w *Debatach* przez pana Juliana Klaczkę, lub kupowane za pieniądze Czartoryskich. Pan Koźmian wie o tem dobrze, co nie przeszkadza mu, gdy mu tego potrzeba, powoływać się na nie, jako usprawiedliwienie działań swojego stronnictwa.

Mowy i matactwa Napoleona III, zaczęły się dopiero wówczas, gdy powstanie polskie pokrzyżowało



wszystkie jego plany i doprowadziło do konwencji rosyjsko-pruskiej. Wtedy dopiero nie wzdrygał on się przed próbami wyratowania swojej polityki kosztem tych, którzy pokrzyżowali ją przez swoje szaleństwo.

Opowiada nam szanowny autor, jak gorączka i niecierpliwość ruchliwszych żywiołów narodu zamierzyła przenieść organiczną pracę Towarzystwa rolniczego na niebezpieczne pole akcji politycznej. Wielka szkoda, że przemilczał to, jak zachowały się żywioły poważne i mniej ruchliwe. Brak ten powinien być uzupełnionym. Poddawszy się za pierwszym strzałem w czasie pierwszych wypadków warszawskich ulicznorewolucyjnej akcji, prowadziły one, albo tolerowały zaciętą walkę przeciwko margrabiemu, gdy ten doszedł do władzy. Gdy Towarzystwo rolnicze zostało rozwiązane, gdy zuchwalstwo spisku doszło do swojego zenitu, gdy poważni dawni członkowie Towarzystwa zaczęli pojmować, że jeden Wielopolski może uratować sytuacją, to i wtedy nie odważyli się jawnie stanąć przy nim i przy zgodzie z rządem, lecz zebrali o zastąpienie ich w tym obowiązku przed krajem, to u redaktorów tajemnych rewolucyjnych pisemek, to u Mierosławskiego, wykonując przytem wszelkiego rodzaju sztuki łamane, żeby Napoleona III zmusić do ujęcia się za Polską, czego tenże ani nie chciał, ani nie mógł wykonać. Nie Napoleon III polskie społeczeństwo popychał do powstania, ale społeczne powagi polskie postanowiły sobie koniecznie wepchnąć Napoleona III i całą Europę do wojny z Rosją o Polskę, której nikt sobie w Europie nie życzył i o niej nie myślał.

Rumieńcem wstydu musi spłonąć czoło każdego Polaka, dbałego o godność swojego narodu, gdy mu



chę wytlómaczyć, że w owych czasach miały prawo przewodnie jego warstwy mieć nadzieję czynnej pomocy od Napoleona III, a nie potrafią wykazać poważniejszej do tej nadziei podstawy, jak wypicie ze znaczącym uśmiechem kieliszka wina przez cesarza Francuzów w ręce księżniczki Janiny Czertwertyńskiej, lub uściśnienie jej ręki w kadrylu przez cesarzową Eugenią.

Jeżeli spokojna praca nie miała u nas od lat wielu powodzenia, to głównie dlatego, że przewodnie warstwy naszego społeczeństwa lawirowały bezustannie między politycznym rozumem a politycznym szaleństwem, a gdy przyszła chwila stanowcza, to wlekły się zawsze na oślep na ogonie wszystkich radykalnych i szalonych żywiołów, składając następnie na nie całą odpowiedzialność za narodowe nieszczęścia.

Przez dość straszne przeszliśmy już ciężki, żebyśmy nie mieli tego wreszcie rozumieć, że nie ma przodownictwa bez odpowiedzialności. Stronnictwo ludzi poważnych, starające się zwalić na innych główny jej ciężar za przeszłość, abdykuje tem samem przed krajem ze wszelkiego wpływu na przyszłość narodu, a co gorsza, że przyszłość tą wypacza. Broniąc się bowiem przed odpowiedzialnością, rozszerza zawsze najfałszywsze pojęcia o dobrem i złem, o rozumnym i szalonym; a zwalając odpowiedzialność na głupców i szaleńców, przyznaje im tem samem prawo do rozrządzania losami kraju.

Przypatrzmy się jak postępowały sobie narody, mające zdrowy rozum polityczny i umiłające zapewnić sobie byt narodowy. Ciekawym coby powiedział na to n. p. taki Kossuth, gdyby chciano w niego wmówić, że moralny przywódzca narodu ma prawo wpędzić naród w otchłań, prawie bez wyjścia, nie mając innych gwarancyi powodzenia i poparcia, jak rzucony tu

i owdzie jakiś dwuznaczny frazes przez Napoleona III, lub którego z jego ministrów, co powiedziałby on na przedłużanie bezcelowej walki całemi miesiącami bez innej podstawy, jak gołosłowne przewidzenie «durez» wyrzeczone przez ministra Walewskiego do Andrzeja Koźmiana. Przecież w r. 1859 Napoleon III zdecydowany na wojnę z Austryą, obiecywał Kossuthowi 200.000 karabinów i 20.000 wojska wysadzonego na brzeg Dalmacyi, a pomimo tego odpowiedział on na to, że: «byłbym zdrajcą, zasługującym na rozstrzelanie, gdybym mój kraj naraził na awanturę bez poważniejszych gwarancyi, t. j. bez zaangażowania się honoru sztandaru francuskiego w głębi Węgier i bez formalnego zobowiązania cesarza francuskiego, że niepodległość Węgier będzie traktowaną równorzędnie ze sprawą oswobodzenia Włoch. A to był węgierski rewolucjonista! Nie dziwota więc, że w takim narodzie znaleźli się konserwatyści którzy w tej samej chwili, w której spiski i rewolucyjne agitacje szerzyły się po całych Węgrzech, w której nikt jeszcze nie mógł przewidzieć że r. 1866 zmusi Austryą do zmiany germanizacyjnego i centralistycznego systemu, nie wahali się już od roku 1861 organizować poważne stronnictwo pod hasłem zgody z rządem.

Tego hasła, pojętego szczerze, uczciwie i bez żadnych ukrytych myśli potrzeba koniecznie tutejszemu społeczeństwu. Hasła tego pragnie niewątpliwie zarówno czcigodny autor artykułu o Aleksandrze Ostrowskim, jak pragnie go cała poważna część naszego społeczeństwa. Przestańmy więc raz zrzucić ciężar odpowiedzialności na obce barki, weźmy go całkowicie na siebie, nauczmy społeczeństwo w czem zawiniliśmy, zarówno my, jak ojcowie nasi i krocmy śmiało w pracy moralnej i ekonomicznej po nowej drodze uznania

istniejącego politycznego porządku i opierania na nim przyszłości naszej ojczyzny, nie zaś na zwodniczych illuzyach. Jeżeli tego nie uczynimy, jeżeli nie doprowadzimy do tego, żeby społeczeństwo nasze szło ręką w rękę z nami w dążeniach do zupełnej harmonii celów i dróg naszych z rządem cesarza Rosyi, jeżeli tej harmonii nie zrobimy podwaliną politycznych naszych dążeń, i naszej społecznej pracy, to potomkowie nasi, jako jedyny po nas spadek odziedziczą znowu nie-szczęśny frazes że:

»Spokojna organiczna praca nie miała u nas od lat wielu powodzenia».

Z prawdziwym szacunkiem

*Jersy Mossyński.*

Łoniów, dnia 24 sierpnia 1896.





III.

KILKA SŁÓW  
W SPRAWIE POLEMIKI  
„CZASU“ z „HAŁYCZANINEM“

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI

1897.





## SŁOWO WSTĘPNE.

---

Największą trudność naturalnego i sprawiedliwego rozwoju stosunków rosyjsko - polskich stanowi przede wszystkim to, że począwszy od chwili rozbiorów, środek ciężkości tychże stosunków wydzierał się zawsze po za granice geograficznego ich określenia. Do bardzo niedawna nikt tego nie pojmował w Polsce, że każda z polskich dzielnic, wówczas tylko może zyskać trwałe warunki do pokojowego rozwoju swojej narodowości, jeżeli nie będzie ich uważała za szczeble, po których mielibyśmy się wdrapywać ku niedościgłym ideałom politycznej niepodległości i jedności. Błędne pod tym względem pojęcia wtrąciły Królestwo Polskie w nie-szczęsne to położenie, że własną skórą musiało ono zawsze płacić ich koszta, bez względu na to, czy błędu dopuszczało się samo — jak to miało miejsce po roku 1815-ym — czy też popełniały go inne polskie dzielnice, jak się to działo przez trzydzieści lat po ostatniem powstaniu.

Trzeba nam było znaleźć się dopiero na samem dnie przepaści, żeby nareszcie zrozumieć, iż tylko biorąc szczerzy, nie podszyty żadnemi ukrytymi planami, udział w rozwoju państw, do których należymy, mo-

zemy być jedni drugim pomocą, a nie zaporą do rozwoju życia narodowego. Współdział nasz bowiem w politycznym i społecznym życiu państw rozbiorowych, sprowadza tą wzajemną pomoc do granic, określonych realnymi stosunkami międzynarodowemi, oczyszcza ją ze wszystkich wybujałości wyobraźni i zamyka ją w szerzeniu zdrowych zasad społecznego rozwoju i uczciwej polityki, dążącej do jak najzgodniejszego pożycia państw, do których należymy. Zgodne pożycie państw rozbiorowych jest niezbędnym warunkiem naszego narodowego rozwoju i dlatego doprowadzenie do niego, stanowi jedyny godziwy i rozumny kierunek ogólnie polskich politycznych dążeń. Kierunek ten mógłby być wówczas tylko chwilowo zawieszonym, gdyby wymagały tego żywotne interesy państwa, do którego ta lub owa dzielnica Polski należy, nigdy jednak dla polskich planów lub widoków. Gdyby wbrew naszym pragnieniom i wbrew prawdopodobieństwu, miecz musiał rozstrzygać antagonizmy państw rozbiorowych, to strasznej katastrofy nie wolnoby nam komplikować wprowadzaniem w grę zwietrzałych, dawnych polskich aspiracji, lecz przeciwnie byłoby naszym obowiązkiem, starać się o ograniczenie grozy wojny do rozmiarów, zakreślonych niezbędnymi interesami państw, do których należymy.

Oto był program polityczny, wypowiedziany przezemnie po raz pierwszy w 1880-ym roku. Od tego czasu przeszło przez świat wiele zmian i wypadków, które zapewniły u nas stanowcze zwycięstwo mojemu programowi, bo zdobyły mu prawo obywatelstwa we wszystkich poważnych umysłach zarówno tu w Królestwie polskiem jak w Galicyi.

Zrozumiała to wreszcie Galicya, że tylko wpływając kojąco na polsko-rosyjskie stosunki, może oddać poważne usługi sprawie narodowej. Pociuszający to objaw, ale owoce jego powinniśmy tu przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza, spadek bowiem galicyjskiej austriacko-polskiej polityki, obciążonym jest pasywami przeszłości, które łatwo mogłyby przygnieść i zabić w zarodzie nasze ugodowe tendencje. W dążeniach naszych powinniśmy przyjmować z wdzięcznością pomoc z każdej strony, z którejby nam ją szczerze ofiarowano, ale nie mamy prawa zrzekać się naszej samodzielności, nie mamy prawa poddawać się z zawiązaniami oczyma pod kuratelę polityków galicyjskich, nie mamy prawa stroić się w mundury galicyjskich stronnictw, bo mundur zmusza do stawania w jednym politycznym szeregu i do brania solidarnej odpowiedzialności za przeszłe, teraźniejsze i przyszłe działanie, a to chyba byłoby dla nas rzeczą arcyniekorzystną ze względu na przeszłość, a kto wie, czy bardzo wygodną dla teraźniejszości i przyszłości naszego działania, wobec narowów, w które zabrnęła prasa galicyjska, a z których nie może się wyleczyć nawet najkonserwatywniejszy jej stańczykowski organ.

---





## I.

Najważniejszym warunkiem trwałej zgody jest szczerłość. Warunek ten nabiera jeszcze większej wagi tam, gdzie bieg historii rzucił między dwa bratnie narody zarzewie politycznego antagonizmu, nie cofającego się ani przed zawiścią, ani przed niesprawiedliwością, ani przed fałszem i podstępem. W takich warunkach, trudno się nawet dziwić, że obydwie strony, pomimo wspólnego interesu w doprowadzeniu do zgodnego pożycia, uważają za swój patryotyczny obowiązek pilne baczenie na to, czy wyciągające się do zgody dłonie nie ukrywają sztyletu, trucizny lub knuta.

Tylko zupełna szczerłość, oparta na zrozumieniu wspólnych ze zgody korzyści, może usunąć ten zgubny dla przyszłości, a niestety do pewnego stopnia usprawiedliwiony przeszłością stan wzajemnego niedowierzania.

Korzyści, płynące ze zgody Polaków z Rosyą, są dziś dla obydwóch stron tak widocznymi, że niezawodnie musiałyby one prędko usunąć wszelkie podejrzliwości, gdyby nie podżywiała ich nieszczęsna zasada dziennikarskiej nieomylności, przyjęta za dogmat przez większość zarówno polskiej jak rosyjskiej prasy. W imię tegoż to dogmatu odbywa się bardzo często w redakcyach bezpłodna praca, która, rachując na krótką pamięć czytelników, wysiła się na wykazanie, że dziennik

nigdy nie zmieniał ani swoich zasad, ani dążeń, ani ideałów politycznych. Naturalnie, że chcąc swoje dzisiejsze opinie nawiązać z dawniejszemi, musi najczęściej redakcja uciekać się do pobożnych kłamstw i fałszów, które podchwyczone przez przeciwników, pobudzają ich do dzwonięcia na alarm i do podawania w wątpliwość szczerości obecnych usposobień społeczeństwa, a jest to rzeczą tem dla sprawy ugodowej niekorzystniejszą, że dzwonnicy nie zawsze odznaczają się dobrą wiarą.

To też wielki byłby już czas na to, żeby zarówno nasze, jak rosyjskie dziennikarstwo, zaniechało systemu przekonywania czytelników, że stronnictwa przez nie reprezentowane nigdy nie błędziły i nigdy nie zmieniały swojego politycznego kierunku. Uwagi te nasunęła mi na myśl odpowiedź *Czasu* na zarzuty *Hałyczanina*, z którą zaznajomił nas Nr 50 *Kraju*.

*Hałyczanin*, chcąc rzucić nieufność pomiędzy Polaków a Rosyą, obrał sobie za podstawę operacyjną grunt, na którym uwikłał się sam w sieć własnego swojego podstępu. Jako dowód nieszczerości dzisiejszych opinii *Czasu* i Stańczyków, przedstawił on historią adresu, w którym sejm galicyjski w r. 1877 zamierzał dać wyraz nieprzyjaznym swoim względem Rosyi uczuciom. W zapale ataku, zagalopował się *Hałyczanin* tak daleko, że nie wahał się przypisać autorstwa tegoż aktu Alfredowi Potockiemu, Ludwikowi i Henrykowi Wodzickim, Józefowi Szujkiemu i Stanisławowi Koźmianowi.

Oczywiście, że *Czasowi* z łatwością przyszło udowodnienie fałszu tej zjadliwej insynuacji, skoro Alfred Potocki, ówczesny namiestnik Galicyi, właśnie sejm ów z powodu tegoż adresu rozwiązał, skoro Ludwik Wodzicki, jako marszałek sejmu, wręcz się przeciwko



adresowi oświadczył, skoro Józef Szujski i Henryk Wodzicki starali się ton adresu poprawkami złagodzić, a Stanisław Koźmian nigdy w sejmie nie zasiadał.

Gdyby *Czas* poprzestał być na tem faktycznem sprostowaniu, to byłby wyszedł zupełnym zwycięzcą z tej walki na pióra. Niestety redakcja *Czasu* chciała skorzystać ze swojego tryumfu, by wykazać swoją nieomyślność i konsekwencyą, by ogłosić światu, że w r. 1877 Stańczycy i *Czas* byli tak samo ugodowo względem Rosyi usposobieni jak dzisiaj, słowem:

„że mówiąc dziś o zachowaniu indywidualności narodowej Polaków pod berłem rosyjskiem i o pogodzeniu ich interesów narodowych z przynależnością do państwa, nie staje—*Czas*—w sprzeczności z tem, co pisał w r. 1877“.

Prosta rzecz, że gdyby prawdą było to twierdzenie *Czasu*, to bardzo smutno wyglądałaby dzisiejsza ugodowa tendencya Stańczyków. Jakie były rzeczywiste dążności ludzi, prowadzących w Galicyi austriacko-polską politykę i jak modyfikowały się one pod wpływem wypadków, wykazałem to już dowodnie w licznych publikacyach, które wydawałem w Krakowie, poczynawszy od 1880 r., a których krótki rys pomieściłem w *odpowiedzi na korespondencyę z Krakowa, zamieszczoną w 17 numerze »Kraju« z r. 1896.*

Ograniczę się więc teraz do określenia stanowiska *Czasu* i *Stańczyków* podczas wojny turecko-rosyjskiej.

## II.

Galicya dzieliła się w r. 1877 na dwa polityczne stronnictwa, a mianowicie na tromtadratyczno-rewolucyjne i na stańczykowsko-rozsądne. Pierwsze nawoły-

wało do bezzwłocznego powstania przeciwko Rosyi i objawiło się śmieszną ekspedycją polską, wypchniętą do Turcyi z Węgier. Drugie uważało wojnę turecką za korzystną sposobność do rozpoczęcia politycznej polsko-austryackiej akcji »w wielkim stylu« przeciwko Rosyi i dla tego zwalczało wszelkie objawy, mogące ją sparaliżować; a więc zarówno *przedwczesne* wyskoki rewolucyjne jak demonstracye sejmowe, któreby mogły zrazić cesarza, na którym opierano głównie nadzieje wielkich politycznych planów. Prosta więc rzecz, że Ludwik i Henryk Wodzicy, Józef Szujski i inni występowali przeciw adresowi, skoro wiedzieli, że cesarz uważa go za szkodliwy dla interesów monarchii. Również zrozumiałą jest rzeczą, że *Czas*, chcąc uchronić naród od szalonych wybryków w rodzaju 1863go roku, pomawianym był przez galicyjskich tromtadratów o zaprzeczenie Rosyi, musiał bowiem w tym celu zalecać zakordonowej braci dwulicową lojalność względem Rosyi, co tem śmieiej czynił, że znając obawy, jakie każda myśl zgody polsko-rosyjskiej budziła w Wiedniu, mógł zajęte przez siebie w tym kierunku stanowisko uważać również za bodziec do popchnięcia Austrii do antirosyjskiej akcji.

Ktoby chciał twierdzić, że tak nie było, ten wysiłałby się na udowadnianie rzeczy wręcz niemożliwej w ówczesnej fazie politycznych poglądów. Przecież stronnictwo stańczyków wystąpiło od pierwszej chwili swojego istnienia pod hasłem utworzenia Polski przez Austrią, przecież w tem hasle szukało uprawnienia przed krajem zarówno lojalności swojej względem Austrii, jak walki swojej ze spiskiem. Przecież ten sam Ludwik Wodzicki rzucił jeszcze w r. 1866 w *Przeglądzie Polskim* program ogólnoeuropejskiej koalicji prze-



ciwko Rosyi, a Maurycy Mann, uważany za największą powagę polityczną w redakcyi *Czasu*, nie wahał się, po dokonanym pogromie Francyi w r. 1871 doradzać tejeż we wstępnym artykule tegoż dziennika, by wsadziła na okręty niedobitki armii Loary i wypowiedziała wojnę Rosyi za starganie traktatu paryskiego. Pytam się, kto wobec tego poważyłby się twierdzić, że naraz w r. 1877, w chwili, gdy Rosya wplątana została w uciążliwą wojnę, ci sami ludzie zaniechali politycznych dążeń, będących wówczas główną ich racyą bytu? Pytam się, czem, jakimi faktami, możnaby wytłómaczyć tą psychiczną ewolucyą? Oczywiście, że faktów takich nikt nie potrafi przytoczyć, bo ewolucyi takiej nie było w owym czasie.

To pewna, że nie było w r. 1877 w Galicyi ani jednego Stańczyka, ani jednego konserwatysty, któryby wybuchu wojny tureckiej nie uważał za początek akcji, mającej urzeczywistnić ideały austriacko-polskiej polityki. Wszelkie nawoływania do legalności względem Rosyi były tylko wyrazem obawy, by owocu nie obrącono *przedwcześnie*.

Że tak, a nie inaczej było, dowodzi tego najlepiej artykuł wstępny *Czasu*, napisany przez Józefa Szujskiego, w którym, zalecając bierność, jako ogólnopolski obowiązek, dodaje on wyraźnie, że może przyjść w trakcie albo w skutku wojny chwila, w której wyjście z bierności stanie się nie tylko naszym prawem, ale nawet naszym obowiązkiem, a wtedy za świecącą linią bagnetów powinniśmy robić wszystko, co może rozum i wola.

Tegoż samego dowodzi rozgoryczenie, jakie odezwało się z ław polskich w wiedeńskiej radzie państwa podczas obrad nad kredytem na okupacyą Bośni i Her-



cegowiny. Nad Wisłą — wołał Grocholski, prezes koła polskiego — a nie w Hercegowinie powinna była Austria szukać rozwiązania sprawy wschodniej! a głosowi temu wtórował, wprawdzie oględniej, przyszły minister finansów, Julian Dunajewski.

Dość przeczytać artykuł *Czasu*, napisany w kilka lat później z powodu dymisyi Andrassego, dość przypomnieć sobie te ostre wyrzuty, któremi obsypywał on ustępującego ministra spraw zagranicznych, zarzucając mu wprost niedotrzymanie zaciągniętych względem Polaków zobowiązań, by zrozumieć, do jakiego stopnia rachowano w r. 1877 w obozie stańczykowskim na wojnę Austrii z Rosyą.

Widocznie więc redakcja *Czasu* ma bardzo krótką pamięć, skoro chcąc dowieść szczerości dzisiejszych swoich dążeń, śmie się powoływać na r. 1877, co tem większą jest z jej strony lekkomyślnością, że dzisiejszy prąd opinii poważnej, nie potrzebuje bynajmniej sięgać tak daleko, by dowieść swej szczerości. Co za pożytek dla sprawy, ze sztucznie naciąganych dowodów tam, gdzie wyłobitł je jasne i niewątpliwe sam bieg politycznych wypadków?

### III.

Na kongresie berlińskim zbankrutował ostatecznie pierwotny stańczykowski system polityczny, którego mową pogrzebową było słynne *exposé*, podane przez galicyjskich konserwatywnych koryfeuszów uczestnikom kongresu. Nie przepadli jednak Stańczykowie. Jednocześnie ze śmiertelnym ciosem, który otrzymała pierwotna ich studencko-emigrancka polityka, zaczęły budzić się między Stańczykami poszukiwania za rzeczy-

wiście realnym gruntem do politycznego działania. Dawne hasła traciły coraz to bardziej na swej sile i schodziły zwolna do rzędu — wprawdzie zawsze jeszcze szkodliwej — ale czczej frazeologii, którą rzucało się od czasu do czasu jako bezużyteczny ochłap zgłodniałej gawiedzi, ale której nie brano już na seryo w gronie augurów konserwatywnego obozu. Do zdeprecjonowania dawnych haseł przyczyniła się także i ta okoliczność, że społeczeństwo polskie pod rządem rosyjskim sprzykrzyło sobie narzucaną mu z Galicyi rolę dekoratora austriacko-polskiej polityki i znalazło skuteczne drogi do stawienia oporu bezmyślnemu igraniu jego bytem i obrony swojej przyszłości.

Że dzisiaj Czas pragnie szczerze dojścia do skutku zgody między Rosyą a Polakami, jest to rzeczą niewątpliwą dla każdego, kto zrozumie powody, które zmuszają dziś do tych pragnień stańczykowski stronnictwo. Przedewszystkiem zarówno zewnętrzna jak wewnętrzna polityka Austrii dostała się w ręce Polaków, co zmusza rządzące stronnictwo do ścisłego rachowania się z realną podstawą politycznego działania, wobec której nie może się ostać politykowanie, nieuwzględniające ani ogólnego interesu monarchii, ani warunków potrzebnych do rozwoju ekonomicznej, finansowej i politycznej potęgi państwa.

Z chwilą, gdy hr. Gołuchowski objął ster polityki zagranicznej, musiała prysnąć sama przez się cała fantasmagorya polityczna, musiały ostatecznie ustąpić wszelkie plany wielkich militarnych przedsięwzięć, wykołysane przez ludzi, którzy patrząc na defiladę wojska austriackiego po rynku krakowskim, cieszyli się naiwną nadzieją, że mają już w ręku gotową siłę do dokonania pogromu Rosyi i odbudowania Polski. Zmuszeni teraz



do zajrzenia po za kulisy spraw politycznych i wojskowych, przekonali się wreszcie galicyjscy mężowie stanu, że żaden chociażby najszumniejszy frazes nie może ani na krok dalej popchnąć militarnej i politycznej potęgi państwa po za granice zakreślone jej naturalnymi warunkami rozwoju; przekonali się nareszcie, że siła militarna ma więcej skomplikowane warunki bytu od ołowianych lub papierowych armii, któremi staczali walne bitwy pod okiem swej piastunki.

Konieczne to przeobrażenie pojęć znalazło bardzo silną ostrogę w zdarzeniach ostatnich czasów, między którymi rewelacye bismarkowskie bez wątpienia bardzo ważną odegrały rolę. One to wykazały, na jak kruchej podstawie opiera się polityka, paląca na cześć trójprzymierza wszystkie mosty, wiodące ku porozumieniu się Austrii z Rosyą i przestrzegły Austryę, że idąc na oślep tą drogą, może się najniespodziewaniej znaleźć naprzeciw groźnej rosyjsko-niemieckiej koalicji.

Nie mniejszą gwarancją szczerości ugodowych dążeń Stańczyków względem Rosji stanowi ujęcie przez hr. Badeniego steru wewnętrznej polityki Austrii, dla której utrzymanie harmonii pomiędzy różnorodnymi narodami w skład jej wchodzącymi i zażegnanie bezwzględnej opozycji Słowian jest jednym z najżywniejszych interesów. A nie ulega wątpliwości, że szczerze porozumienie się Austrii z Rosyą odcięłoby za jednym zamachem główną podstawę działania zarówno opozycji antiaustryackiej w Austrii, jak antirosyjskiej w Rosji, na czem zyskałby zarówno spokojny rozwój Słowian austriackich, jak Polaków rosyjskich.

Dostawszy się do władzy w Austrii, Polacy galicyjscy musieli się po raz pierwszy od czasu rozbioru, wyzuć z wielkich a pustych frazesów *niewyrzekania*



się przyszłości i nieprzesądzania wyroków Opatrzności. Udział w najwyższych władzach państwa, przekonał ich nareszcie, że Opatrzność, składając w ich ręce rządy monarchii, nie tylko dała im prawo, ale co więcej włożyła na nich obowiązek przesądzania przyszłości t. j. do budowania przyszłości na prawach logiki, złożonej przez Opatrzność w dziejach ludzkości i obowiązek wyrzekania się na przyszłość wszystkiego, co nie jest zgodne z tą logiką.

To też chwila dzisiejsza z tego względu ma dla nas wyjątkową wagę, że po raz pierwszy od czasu rozbioru Polski, wszystkie czynniki, od których zależy zgodne uregulowanie się rosyjsko-polskich stosunków, zaczynają rozumieć w niem swój interes i szczerze go pragnąć, zarówno rząd jak społeczeństwo rosyjskie, zarówno tutejsze polskie społeczeństwo jak zakordonowe, a nawet Austria ze względu na zewnętrzne i wewnętrzne swoje stosunki.

Stoimy więc wobec faktu, który historia zapisze kiedyś jako *habet* albo *dabet* w dziejach Słowiańszczyzny podług tego, czy zdobędziemy się na zużytkowanie sposobnej chwili do zgody z Rosją, lub ją zmarnujemy, ale który w każdym razie brzemienny jest w dobre albo złe następstwa dla tych, co go wyzyskają lub zmarnują.

Łoniów, dnia 1 stycznia 1897 roku.

*Fersy Mossyński.*





IV.

# KILKA SŁÓW

Z POWODU ARTYKUŁÓW NOWOROCZNYCH

Gazety „SWIET“

i „S. PIETIERBURGSKIJ WIEDOMOSTI“

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI

1897.





## I.

Nowy rok jest chwilą, w której organa opinii publicznej zwykły robić swoje moralne i polityczne bilanse i preliminarze. Oczywiście, że z natury rzeczy jedna chwila nie może wystarczyć na uchwalenie poważnego i wyrezonowanego budżetu i dlatego kończy się zazwyczaj na ogłoszeniu pobieżnego tylko prowizoryum, do którego nie można przywiązywać ani zanadto dużej wagi, ani przesadnych nadziei, lub brać ich za tragicznie. Nie może to nas jednak zwolnić od przedmiotowego i spokojnego rozpatrzenia się w nadziejach i dążeniach prasy rosyjskiej. Im gorętszem jest bowiem pragnienie nasze zgodnego pożycia dwóch społeczeństw, które Opatrzność i historia nierozzerwalnie z sobą złączyła, tem potrzebniejszą jest szczerą wymiana myśli, któraby przygotowała grunt dla wzajemnego poznania i porozumienia się.

Jak się o tem dowiadujemy z Nru 11 *Słowa* z r. b. najszersze wrota do bujania po stepie politycznych fantazyi, otworzył przed społeczeństwem rosyjskiem *Swiet* (Nr 349), który zaznaczywszy, że w roku minionym zdziałano bardzo dużo, że na Wschodzie osiągnięto bardzo poważne rezultaty, następujące z tego faktu wyściąga wnioski:

»Sprawy tego wschodu rozmyślnie — pisze dziennik — zaliczany do rzędu *spraw wewnętrznych*. Wschód z jego:

Chinami, Persyami, Beludżystanami, a *nawet Indyami*, przez wolę Opatrzności przeznaczony jest narodowi rosyjskiemu. Wcześniej czy później, ale Wschód ów nas nie minie. Atoli dążąc do tego celu, trzeba bronić naszej pozycji i być silnymi na Zachodzie Europy«.

»Dalej *Swiet* oświadcza, że Rosya winna bardzo pilnie obserwować i badać, co się dzieje na Zachodzie, zapobiegać intrygom niemieckim i znać dobrze wrogów. Rosya słaba na Zachodzie, straci Wschód i odwrotnie. Powinniśmy stać silni i niewzruszeni w cieśninach, tak samo jak niewzruszonym winno być stanowisko nasze na Wiśle i na pomorzu Nadbałtyckiem. Broniąc Zachodu naszego, winniśmy być przede wszystkim Słowianami i mieć w opiece uczucia narodowe ludności, należącej do szczepu słowiańskiego, a rozrzuconej na Zachodzie aż do wybrzeży Adryatyku. To nasze straże przednie, konieczne dla skutecznej walki z największym wrogiem narodu — germanizmem.

»*Swiet* jest zdania, że idąc ręka w rękę z Francją, Rosya osiągnie cel, do jakiego dąży: Utrzyma pokój ogólny, a jednocześnie zdobędzie to, co się jej należy«.

Że Rosya ma bardzo poważne interesa na Wschodzie, o tem, zdaje mi się, nikt dziś w Europie nie wątpi. Dla każdego jednak, kto nie utrzymuje, tak jak *Swiet* bezpośrednich osobistych stósunków z Opatrznością i komu nieznanym jest dokument zobowiązania się Opatrzności do oddania, czy też dokonanego już oddania Rosyi Chin, Persyi, Beludżystanu, Indyi i Austrii aż po Adryatyk, o wiele mniej jest pewnem i mniej zrozumiałem, na podstawie jakich faktów kraje te stały się już wewnątrzniemi prowincjami rosyjskiemi. Jak dotąd bowiem, zarówno geografia jak kronika współczesna zawsze po dawnemu twierdzą, że Chiny, Persya, Beludżystan i Austrya są państwami niepodległemi, Indie zaś prowincją angielską.



Również niezrozumiałą jest rzeczą, jakimi środkami zamierza Redakcja *Swieta* utrzymać pokój, idąc ręką w rękę z Francją, skoro zabiera się do podbicia całej Azji i Europy aż po Adryatyk, a równocześnie wypowiada Niemcom nieprzejednaną walkę. Niech mi wybaczy *Swiet*, ale są to łamigłówki, których rozwiązanie możnaby się chyba doszukać w pragnieniu podbicia przy nowym roku całego świata... prenumeratorów.

Należąc do ludzi, którzy nie od dziś i nie od wczoraj pracują nad pojednaniem Polaków z Rosją, a więc nad najskuteczniejszym zabezpieczeniem potęgi Rosji na zachodnich jej kresach, upatrując w Słowiańszczyźnie najskuteczniejsze rozwiązanie kwestyi rosyjsko-polskiej, a w niesieniu cywilizacji zachodniej na Wschód, główne jej zadanie, nie mogę milczeć, gdy rozbijała fantazyja dziennikarska wysiła się na popchnięcie Rosji w położenie bez wyjścia, gdy stara się wtrącić ją w otchłań, w której zetrzećby się musiała jej potęga, a z nią przeszłość Słowiańszczyzny.

Powiedziałem już wyżej, że noworocznych artykułów tego lub owego dziennika nie biorę zbyt tragicznie, mam bowiem aż nadto zaufania do wypróbowanej trzeźwości dyplomacyi rosyjskiej, na którą nie może mieć wpływu polityczne majaczenie *Swieta*. Ale pytam się, do czego ma służyć to sztuczne podniecanie wyobraźni społecznej? do czego służyć ma to bałamucenie opinii publicznej, to bałagulstwo zdrowego rozsądku po stepach niedorzecznych mrzonek? Czyba do obdarcia społeczeństwa ze wszelkiego zdrowego sensu i do oderwania go od wytężonej wewnętrznej ekonomicznej i moralnej pracy, która jest dzisiaj tem niezbędniejszym obowiązkiem jego względem Rosji, im poważniejsze, im większe czekają ją w przyszłości zadania.

Mnie się zdaje, że zamiast sztucznie rozbudzać narodowy szowinizm, powinniśmy być pierwszym obowiązkiem prasy wdrażać w społeczeństwo przeświadczenie, że im większą polityczną stawkę zaczyna Rosya rozgrywać, tem większe grożą jej niebezpieczeństwa, a więc tem więcej trzeba skupiać, wyświeślać i wyteżać wszystkie społeczne siły, by szczęśliwie przez nie przepłynąć.

Bo nie to daje siłę, jeżeli ten lub ów przemysłowiec lub rolnik przeczyta Nr 349 *Swieta* i odda się rozkoszным marzeniom, że kula ziemska należy już z woli Opatrzności do Rosyi, ale to, gdy zamiast marzyć, będzie pracował z podwojoną energią nad moralnem i ekonomicznem podniesieniem się, pomnąc, że od jego pracy i wartości zależy przebrnięcie Rosyi przez ciężkie chwile, które ją czekają, że od jego pracy zależy przyszłość Słowiańszczyzny..

Nie trzeba zapominać, że dotarliśmy już nie tylko pod geograficznym, ale nawet politycznym i ekonomicznym względem do samych granic Chin i Indyi, szczególnie wobec wzmagającej się potęgi Japonii, Rosya straciła dotychczasowe swoje wyjątkowe stanowisko strategiczne, które usuwało wszelkie obawy o bezpieczeństwo swoich pleców i wykluczało stanowczo walkę na dwóch frontach. Dotychczas mogła Rosya być atakowaną przez dwa lub trzy mocarstwa, mogła mieć do czynienia z bardzo rozległą nieprzyjacielską linią frontu, ale nie mogła być zaczepioną na dwóch przeciwnych frontach, w rzeczywistości tego słowa znaczeniu, t. j. być atakowaną z przodu i z tyłu.

Dziś kolej syberyjska i bezpośrednie wdanie się Rosyi w sprawę Chin i Japonii, zmienia radykalnie tą dotychczasową podstawę siły militarnej Rosyi. A zmiana



ta będzie tem więcej stanowczą, im więcej będzie Rosya uzbierała 4.000 tysiacletnią cywilizacyą chińską w strategiczne narzędzia stworzone przez Zachód. Mogą Chiny lub Japonia chwilowo łączyć się z Rosyą jedne przeciwko drugim, lub obydwa przeciwko państwom europejskim, ale zdaje mi się, że przypuszczenie, iżby Japonia lub Chiny wyrzekły się raz na zawsze swojej niepodległości na rzecz Rosyi, byłoby prostem a niebezpiecznem złudzeniem.

Daleko lepiej patrzeć twarzą w twarz nowemu położeniu rzeczy. Z kolei staje dziś także przed Rosyą groźba nieustanna walki na dwóch frontach, a groźba ta musiałaby się stać rzeczywistością, gdyby się miały spełnić życzenia *Swieta*. A na to chyba nie trzeba być wielkim strategikiem, by zrozumieć, że położenie państwa rosyjskiego stałoby się bardzo krytycznem, gdyby dyplomacya jego poszła drogą wskazaną przez *Swieta* i uwikłała ją naraz w wojnę z Anglią, Niemcami, Austryą, Turcyą, Chinami, Japonią i Persyą. Mnie się zdaje, że innym tonem powinny przemawiać do społeczeństwa dzienniki, dbałe o pomyślny rozwój Rosyi. Mnie się zdaje, że powinny one powiedzieć mu, że:

»Rosya dziś zyskała sobie nieprzebrane przestrzenie w Azji, które otworzyły społeczeństwu niesłychane pole do rozwoju swojego bogactwa, przemysłu i handlu. Z dobrodziejstwa tego wówczas tylko potrafimy zebrać obfity plon, jeżeli hasłem naszym stanie się praca, moralność i szanowanie cudzych praw i interesów. Nie zapominajcie, że ziemia jest okrągłą, że poza nami żyją setki milionów ludzi, połączonych w cywilizowane społeczeństwa, które także żyć i rozwijać się potrzebują. Pamiętajcie, że nasz stumilionowy naród rozlawszy się na obszarach tysięcy i tysięcy mil, wiele po-



trzeba czasu, by wyrobić w sobie odpowiednią ekonomiczną i społeczną siłę. Pamiętajcie wreszcie, że dziś potęga militarna państwa zależną jest we wszystkich swoich arteriach od ekonomicznej, moralnej i umysłowej siły. Nie zapominajcie, że na nic nie zda się wygrażanie się *największemu wrogowi narodu rosyjskiego — germanizmowi*, jeżeli naród nasz nie potrafi dorównać mu ekonomiczną i cywilizacyjną siłą.

Oto są, zdaniem naszym rady, które powinien był *Swiet* dać swojemu społeczeństwu, skoro czuł potrzebę puszczania się z rozpostartemi żaglami na szerokie morze polityki przyszłości.

## II.

Trudno zataić, że z prawdziwą przykrością przychodzi mi zabrać się do odpowiedzi na artykuł pana Baszkirowa zamieszczony w Nrze 1 *S. Piet. Wiedomości*. Od roku przyzwyczaiła nas szanowna Redakcja tego poważnego i bezstronnego pisma od szukania w niem głosu bezstronnej prawdy i trzeźwego politycznego rozumu i dlatego, tem niespodziewaniej spadł na nas podarek, ofiarowany *Słowianom na rok nowy* przez szanownego autora, który niestety nie umiał nam oszczędzić szychowej pozłotki tego noworocznego cacka.

Powtarzam, że zanadto cenię prawe i rozumne tendencje *S. Piet. Wiedomości* do ugruntowania rosyjsko-polskich stósunków na podstawie prawdy, sprawiedliwości i politycznego rozumu, żebym miał wyciągać z jednej fałszywej nuty, wnioski zmiany całego kamertonu na przyszłość. Byłbym jednak nieszczerym, gdybym milcząco zgodził się na przyjęcie podarku, a mógł-

bym być wziętym za kapryśne dziecko, gdybym nie uzasadnił swojej odmowy. To zmusza mię do krytyki, która o tyle łatwiej mi przyjdzie, że podpis pana Baszkirowa nadaje artykułowi cechę czysto osobistą i uwalnia od rozciągania odpowiedzialności za poglądy wzmiankowanego artykułu na całą Redakcyą. Z drugiej strony wybór *S. Piet. Wiedomosti* na pośrednika przesłania nam podarku, stanowi dla mnie dostateczną gwarancją dobrej woli i dobrej wiary szanownego Autora, co znacznie ułatwia zadanie krytyka, pozwala mu bowiem ograniczyć się do sprostowania pomyłek, popełnionych w faktycznej podstawie jego poglądów.

»Polacy — powiada szanowny Autor — tak wytrwale broniący swej narodowości, budzący z tego względu tak poważne uszanowanie dla siebie, nawet pośród wrogów, zasługują wszakże na jeden zarzut. Oto zapominają, że są *przedewszystkiem* Słowianami a dopiero potem Polakami i występują, działając nieprzyjaźnie, względem pobratymców n. p. Rusinów w Galicyi. Zamiast współdziałać odrodzeniu Rusinów, zamiast bronić ich przed ciężką ręką Niemców i Węgrów, Polacy starają się ich zasymilować, zapominając, że w ten sposób pozbawiają Rusinów gruntu pod nogami. Doszedłszy do ogromnego znaczenia w Austrii, Polacy rzadko kiedy popierają odrębne plemiona słowiańskie w walce ich z żywiołami wrogami Słowiańszczyźnie i milcząco spoglądają na zdobycze madziaryzacyi i germanizacyi. Tylko Polacy zachowują się obojętnie: gdy Węgrzy wprowadzają swój język nie tylko do szkoły, lecz i do kościoła; gdy Niemcy manifestują głośno chęć odegrywania roli przewodniej na Morawach i dumnie podnoszą głowę w Czechach. Życzymy Polakom, żeby nie łączyli spraw religijnych z narodowościowymi! Życzymy im, żeby nie zapominali o tem, że są Słowianami, których wrogiem głównym są Niemcy, jak o tem świadczą świeże zatargi Polaków z Niemcami w cesarstwie niemieckiem«.

»Życzenia nasze zakończymy«—powiada p. Baszkirów—  
 »życzeniami większej jednomyślności, większego oddania się  
 idei ogólno-słowiańskiej i powiemy słowami Kołłara:«

»Ruśi, Srbi, Czeszi, Poláci

Žite svorne, jako jedno stadce!«

Na zarzuty szanownego Autora będę się starał  
 odpowiedzieć kolejno, jak po sobie następują:

1) Nie wiem czy szanownemu Autorowi wiadomo,  
 że od lat 17 byłem w Galicyi najgorliwszym rzecznikiem  
 polityki słowiańskiej. W czasach, gdy obawiano  
 się tam nawet wyrazów „*Słowiańszczyzna*“ i „*zgoda*  
*z Rosyą*“, by nie popsuć sobie politycznego wpływu  
 w Austryi, nie wahałem się głośno twierdzić, że o roz-  
 woju narodu polskiego nie można nawet pomyśleć poza  
 Słowiańszczyzną, a kto uznając tą prawdę pali mosty  
 wiodące do porozumienia się z Rosyą, ten czyni jak  
 gracz, który zasiadając do partyi, wyrzuca przez okno  
 najważniejszego atuta. Wybacz mi jednak szanowny  
 Autor, że poważę się także jemu powiedzieć, że kto  
 żąda, żeby Polak przedewszystkiem czuł się Słowiani-  
 nem, a dopiero potem Polakiem, czyni jak ten, któryby  
 żądał wyznania od człowieka, że przedewszystkiem  
 czuje się członkiem gminy, narodu i państwa, a potem  
 dopiero człowiekiem i członkiem własnej rodziny. Dla  
 mnie jest rzeczą niewątpliwą, że ten tylko potrafi być  
 rzeczywiście pożytecznym członkiem gminy, narodu  
 i państwa, kto czuje się przedewszystkiem uczciwym  
 i prawym człowiekiem, kto przedewszystkiem umie ko-  
 chać Boga, umie czcić własnych rodziców i kochać  
 własne swoje dzieci. Tak samo ten tylko Polak może  
 być pożytecznym członkiem Słowiańszczyzny, który  
 w pierwszym rzędzie swoją własną miłuje ojczyznę. Co  
 za pożytek mógłby przyjsć Słowiańszczyźnie z nie-



sfornej, luźnej kupy ludzi, którzy wchodząc w jej skład, potargaliby przedtem wszystkie węzły łączące ich z przeszłością i terażniejszością swojego narodu? Czyż taka niesforna kupa mogłaby wnieść co innego w łono Słowiańszczyzny jak anarchią i nihilizm?

2) Powtóre robi szanowny Autor zarzut Galicyi, że nie popiera narodowego rozwoju Rusinów. Szkoda, że nie podał nam on źródeł, z których czerpał swoje pod tym względem wiadomości. W tak ważnej bowiem kwestyi nie może służyć za podstawę oskarżenia, śrubowanie przez tego lub owego malkontenta lub oponicyonistę, tego lub owego odosobnionego faktu nadużycia lub opieszałości władzy do rozmiarów ogólnego stanu rzeczy. Tego rodzaju taktyka nie może uprawniać do rzucenia kamieniem na całe polskie społeczeństwo w Galicyi. Każda mechanika zarówno administracyjna, jak parlamentarna jest rzeczą ludzką, z natury więc swojej niedoskonałą. Wyłapać i rozdmuchać do rozmiarów ucisku jeden, drugi lub dziesiąty fakt nadużycia lub opieszałości władzy, potrafi zawsze i wszędzie każda opozycja, szczególnież zaś tam, gdzie ucisk ten bynajmniej nie sięga do ust i do gardła. Przecież istnieje w Galicyi cała szkoła opozycyjna, która także krzyczy w niebogłoso, że rząd ze Stańczykami uciska polskość w Galicyi, że zabija ducha narodowego!

Chcąc o kwestyi ruskiej w Galicyi mówić poważnie, trzeba ją rozważyć pod trojakim względem, a mianowicie pod politycznym, społecznym i słowiańskim.

Otóż pod politycznym względem korzystają Rusini w Galicyi ze wszelkiej swobody rozwoju swojej narodowości. Żadne gazeciarskie hałasy nie zdołają zaprzeczć faktowi, że język ruski w całej wschodniej Galicyi jest obowiązkowym we wszystkich ludowych i średnich

szkołach; że istnieją gimnazya z wyłącznie ruskim wykładowym językiem; że na lwowskim uniwersytecie są obok polskich także katedry z ruskim wykładowym językiem; że język ruski jest równo uprawnionym z polskim we wszystkich urzędach i sądach wschodniej Galicyi, że również równouprawnionym jest ruski język w sejmie; że Rusini nie podlegają najmniejszym prawnym ograniczeniom ani pod względem prywatnym ani politycznym; że dopuszczeni są do wszystkich urzędów i posad zarówno politycznych jak krajowych i z prawa tego w bardzo rozległej korzystają mierze.

Widzimy więc, że nie ma najmniejszej podstawy do twierdzenia, jakoby w Galicyi panował system politycznego ucisku Rusinów. Przeciwnie, nikt temu n. p. nie zdoła zaprzeczyć, że Galicya jest jedynym w Europie krajem, w którym Rusini mają sposobność kształcenia swojego języka literackiego i naukowego.

Nie można tu także pominąć faktu, że właśnie po objęciu teki prezesa ministrów przez hr. Badeniego, uzyskali Rusini kapelusze kardynalski dla swojego arcybiskupa.

Jeżeli ktokolwiek mógłby w Rosyi wątpić o prawdziwości tego przedstawienia stosunków politycznych na galicyjskiej Rusi, to większego dowodu mojej szczerości nie mogę mu dać, jak zaręczając, że gdyby Polacy w państwie rosyjskiem uzyskali kiedykolwiek te same prawa polityczne, które mają w Galicyi Rusini, to uważaliby się za najszcześliwszych z ludzi.

Co do stosunków społecznych na Rusi, to niewątpliwie wymagają one gwałtownej reformy, ale przyczyną ich wadliwości nie jest niechęć do Rusinów, lecz ogólnie wadliwy ustrój społeczny zarówno we wschodniej jak w zachodniej Galicyi. Przyczyny jego tkwią w niepomysłnem dla rozwoju przemysłowego położe-

niu Galicyi, następnie w nieszczęsnej wierze w nieomylność recept liberalnych, która od samego początku ery konstytucyjnej o władnęła naszą parlamentarną reprezentacją, wskutek czego najlepsze chęci do podniesienia stanu włościańskiego zrujnowały tylko organizacją tegoż stanu i rzuciły go na pastwę żydowskiego wyzysku: wreszcie w pokładaniu ufności w wyłącznej skuteczności życia parlamentarnego, a zaniedbywaniu pracy społecznej nad ludem u siebie na wsi.

Nie przeczę, że wszystkie te braki i błędy dały się więcej we znaki ruskiemu jak polskiemu ludowi, ale tylko dlatego, że chłop ruski jest o wiele leniwszy do pracy i ociężalszy umysłowo, jak polski. Wszystkie te przyczyny były ogólnospółeczne, nie mające żadnego związku ze sprawą polityczną i narodowością; jeżeliby zaś kto chciał koniecznie doszukać się przyczyn politycznych upadku ludu ruskiego pod względem moralnym i ekonomicznym, to mógłby je chyba znaleźć, w zawsze i wszędzie niekorzystnie wpływającej agitacji socyalistycznej, prowadzonej między ruskim ludem przez część księży i nauczycieli ludowych, którzy uważają sobie za patryotyczny ruski obowiązek wzniecać w tym ludzie zawiść i socyalny antagonizm do szlachty polskiej, nie wahając się obsypywać jej pogardliwem mianem *obszarników* i t. p.

Jeżeli zaś na stósunki rusko-polskie w Galicyi będziemy się zapatrywali ze względu na ich stósunek do ogólnej sprawy słowiańskiej w Austryi, to przyznać musimy, że pan Baszkirow wprawił nas w niemały kłopot, żądając od nas jednocześnie i protegowania politycznej akcji Rusinów i protegowania ogólnej sprawy Słowian w Austryi. Te bowiem dwa żądania stanowczo się wykluczają. Na to, żeby w Austryi dać przewagę



żywiolowi słowiańskiemu, trzeba było koniecznie ściąć głowę hydrze niemieckiej centralistycznej partii liberalnej, która od niepamiętnych czasów zdobyła sobie wyłączny monopol rządów centralnych. Walka ta nie była łatwą, partya bowiem centralistyczna rozporządzała i znaczną ilością głosów i powagą, którą dawała jej austriacka germanizacyjna tradycja i wielkim zasobem ludzi zdolnych, mających praktykę rządzenia. Naturalnie, że zabierając się do tej walki, trzeba było wyteńczyć wszystkie siły żywiołów słowiańskich. Rozpraszać i osłabiając je, byłoby się z góry skazało na pewną przegraną. Otóż panu Baszkirowi nie jest zapewne wiadomem, że Rusini galicyjscy stali systematycznie na stanowisku zajmowanym dotychczas w Rosyi przez *Swiet* i niektóre jeszcze inne rosyjskie dzienniki, które strzelając szumnemi słowiańskimi frazesami, życzą sobie w gruncie rzeczy nie zwycięstwa Słowian w Austrii, ale utrzymania w niej nieustającego panowania systemu germanizacji ludów słowiańskich i powodowanego nim fermentu i rozdrażnienia przeciwko rządowi. I dlatego też systematycznie stawali zawsze galicyjscy ruscy posłowie w sojuszu z panami Giskrą, Herbstem i Plenerem, przeciwko słowiańskiej parlamentarnej koalicji, zawiązanej pomiędzy Polakami, Czechami i Słoweńcami, w celu odebrania Niemcom monopolu rządów w Austrii. Prosta rzecz, że wobec takiego położenia rzeczy nie mieli Polacy najmniejszego powodu starania się o to, by jak najwięcej mandatów dostało się w ręce Rusinów. To też starali się w agitaacji wyborczej, robić co mogli, by Rusinów nie dopuszczać na krzesła poselskie, ale co prawda, działając inaczej, byliby szkodzili nie tylko własnym swoim inte-

resom, ale zarazem ogólnym interesom, słowiańskim w Austrii i działaliby przeciw interesom tejże monarchii.

Z tą myślą muszą pogodzić się Słowianofile rosyjscy, że Polacy w Galicyi nie dadzą się im użyć do rozsadzania i dezorganizowania monarchii austryackiej, której są wolnymi i wiernymi obywatelami, a wszelkie ku temu celowi skierowane artykuły gazeciarskie, zostaną zawsze równie bezużyteczną stratą czasu i atramentu, równie bezcelowem czernieniem bibuły drukowanej, jakimi były sążniste artykuły proponujące Polakom w Rosyi kościół narodowy i oderwanie się od jedności katolickiej.

3) Trzecim z kolei zarzutem szanownego Autora jest, że Polacy doszedłszy do znaczenia w Austrii, nie popierali odrodzenia Rusinów i innych Słowian węgierskich. Robiąc ten zarzut widocznie zapoznał p. Baszkirow organizacją dualistyczną monarchii Austryackiej i Węgierskiej. Zapomniał o tem, że Węgry, z wyjątkiem polityki zewnętrznej i armii, stanowią zupełnie od Austrii odrębny polityczny organizm, mający swój własny parlament i rząd, mający nawet prawo odmówienia wydania księdza Stojałowskiego austryackiemu rządowi. Szkoda, że p. Baszkirow nie określił bliżej swojej myśli, jakim sposobem mógłby hr. Badeni lub hr. Gołuchowski z ministeryalnego swojego krzesła przeszkadzać uciskowi Słowian przez Węgrów? Czy powinniśmy posyłać do Węgier tajnych emisaryuszy, którzyby podburzali ludność słowiańską przeciwko rządowi węgierskim? Czy może powinni wypowiedzieć wojnę Węgom? Gdyby p. Baszkirow był się zastanowił nad tem pytaniem, zanim pchnął w świat ten wątpliwy frazes, mający podźwignąć ciężkie przeciw galicyjskim Polakom oskarżenie, to może przyszedłby był do

przekonania, że Polacy, dzierżący teki ministeryalne w Austrii, mogą tylko wpływem moralnym protegować węgierskich Słowian, a nie bardziej wpływu tego nie osłabia, jak przenoszenie punktu ciężkości sprawy austryackich Słowian po za granice austryackiej monarchii i robienie z niej trującego rozczynu, w którym miałyby się rozpuścić potęga i byt tejże monarchii. Każdy bowiem minister austryacki, czy nim będzie Polak, czy Węgier, Czech, Niemiec lub Rusin, musi przede wszystkim dbać o całość i potęgę Austrii i byłby prostym, a podłym zdrajcą, gdyby starał się rozstrajać monarchią, której rządu powierzył mu cesarz, lub gdyby chciał w niej wzniecać wojnę domową. — Na ministra Polaka jednak spada pod tym względem podwójna odpowiedzialność, jeżeli z potęgą monarchii chce pogodzić interes Słowiańszczyzny. Minister Polak bowiem, wie o tem doskonale, że bardzo to lekko idzie, posuwać na redakcyjnym stoliku *Swieta* granice Rosyi aż po Adryatyk, ale zanimby do tego przyszło, to Rosya musiałaby znaleźć się odosobnioną i stoczyć zwycięzką wojnę z całą Europą; próby bowiem takiego rozwielmożenia się Rosyi w środkowej Europie, nie mogłoby wytrzymać nawet francusko-rosyjskie przymierze. Francya z pewnością nie życzyłaby sobie znaleźć się w przyszłości sam na sam wobec wszechwładnej Rosyi. Przepuszczenie więc pogromu Austrii przez Rosyą możliwym jest nie inaczej, jak w koalicji Rosyi z Niemcami. Koalicja taka z pewnością popchnęłaby nietylko Francyą do przeciwnego obozu, ale prawie na pewno musiałaby się stać hasłem do rozbicia się zjednoczonego cesarstwa niemieckiego, wskutek czego Rosya wystąpiłaby do walki tylko w przymierzu z samemi Prusami i co najwyżej z północnemi niemieckimi państwami.



Gdyby połączone siły Prus i Rosyi wystarczyły do pogromu Austrii, południowych państw niemieckich i Francyi, to Austria znikłaby z karty Europy, ale z pewnością Rosya nie mogłaby nic innego zyskać z tej sukcesyi, jak tylko Galicyą; Czechy zaś, Morawa, Szląsk austriacki i właściwa Austria z przyległościami musiałaby się dostać Prusom. Z Węgier utworzonoby niezawodnie fikcyjnie niepodległe państwo Węgierskie pod protektoratem Prus; Rosyi zaś jako kompensatę oddanoby protektorat nad państwami bałkańskimi, prawdopodobnie z wyjątkiem Rumunii, Serbii i Hercegowiny, i oddanoby jej Konstantynopol. Z czego wynika, że wielko-słowiańska polityka Rosyi, oparta na dążeniu do rozsadzenia Austrii, doprowadziłyby mogła w razie bardzo nieprawdopodobnego powodzenia, tylko do oddania raz na zawsze wszystkich ludów austriackiej, zachodniej Słowiańszczyzny na pastwę bezwzględnej Pruskiej germanizacji i Węgierskiej madziaryzacji. Rozumieją to wybornie ludy słowiańskie Austrii, a przedewszystkiem Czechy, które lubią straszyć Austryą rosyjskimi sympatjami, w celu uzyskania tego lub owego ustępstwa, ale które z pewnością stanęłyby jak jeden mąż pod sztandarem Austrii, gdyby kiedykolwiek całość lub byt tej monarchii został narażonym. Rozumieć to musi tembardziej Polak, trzymający w swej dłoni ster rządu Austrii i mający sposobność przekonania się z praktyki, że rozum polityczny musi miarkować na każdym kroku wybujałe aspiracye narodowe i polityczne uwzględnianiem interesów innych państw i narodów, a opuszczenie drogi przezeń wytkniętej prowadzi zawsze tylko do bolesnych rozczarowań, do rozstroju społecznego i do starcia się politycznych i narodowych ideałów.

Jeżeli zaś panu Baszkirowi chodzi o moralne poparcie przez Polaków narodowych dążeń ludów słowiańskich na Węgrzech, to radziłbym mu przejrzeć poważniejsze organa polskiej opinii publicznej, a te przekonają go, że tego poparcia nie szczędzili Słowianom nigdy i nie szczędzą Polacy we wszystkich bez wyjątku dzielnicach dawnej Polski. Chcąc wyczerpać tą kwestyą, nie mogę pominąć jednej jeszcze uwagi. Nie znam wprawdzie osobiście stosunków Słowian Węgierskich, ale fakt, że Kroacya posiada najobszerniejszą autonomią narodową, ze swoim sejmem i ze swoim rządem krajowym, osłabia bardzo podstawę do uogólniania skarg i wyrzekań na ucisk Słowian na Węgrzech.

4) Czwartym zarzutem szanownego Autora przeciwko Polakom galicyjskim jest twierdzenie, jakoby odmawiali oni pomocy Czechom i Morawianom w ich walce z germanizacją. Znowu muszę nudzić szanownego Autora powtórzeniem pytania: z jakich źródeł zaczerpnął ten zarzut? Każdemu bowiem, kto zna historią parlamentaryzmu austriackiego, wiadomą jest rzeczą, że Czesi przez długie lata trzymali się zdala od prac parlamentarnych i walcząc bronią biernej opozycji, nie wywalczyli sobie nic zgoła. Poznawszy bezskuteczność tego środka zdecydowali się oni wreszcie wziąć czynny udział w radzie państwa i połączywszy się z kołem polskim i klubem Hohenwarta, w którego skład weszli Słoweńcy, utworzyli stałą autonomiczno-słowiańską większość, która powaliła raz na zawsze o ziemię najzaciętszych ich wrogów t. j. partya centralistyczną liberałów niemieckich, na których czele stali Herbst, Giskra, Plener i t. d., t. j. właśnie Niemcy z Czech, stanowiący żywioł najwięcej niebezpieczny i zawistny dla narodowego rozwoju Słowian austriackich i dla

narodowej autonomii. Ta koalicja wydała ministerjum hr. Taaffego, Dunajewskiego i Dr. Prażaka, które przez 10 lat swojego istnienia oparło się zajadłym napaściom niemieckich centralistów i galicyjskich Rusinów i przyniosło dla Czech: czeski uniwersytet w Pradze, niedopuszczenie do ogłoszenia języka niemieckiego za język państwowy w Austrii, uregulowało okręgi wyborcze w Czechach w ten sposób, że zniosło tam dotychczasową sztucznie wytworzoną większość niemiecką w sejmie czeskim, zresztą osłabiło do reszty siłę wyborczą Niemców w Czechach przez pociągnięcie do wyborów tak zwanych ludzi pięcioreńskowych, tj. opłacających co najmniej 5 złr. podatku rządowego. Tak więc przy czynnej i skutecznej pomocy Koła Polskiego złamanym został raz na zawsze monopol rządów centralistycznych, zostających dotychczas w rękach nieprzejednanego wroga Czech, Słowian i autonomii narodowej. Że Czechom to niewystarczało, że zachciało im stać się odrębnem królestwem czeskiem na wzór Węgier, to już nie Polaków w tem wina. Minęły czasy, w których możnaby wobec dokonanych przez historją faktów i zmian igrać bezkarnie frazeologją przeszłości. Chyba mają się o tem sposobność przekonać publicyści rosyjscy u siebie w domu na stósunkach polsko-rosyjskich. Gdzie znajdzie się poważny mąż stanu, który poważzyłby się przypuścić możliwość utrzymania się potęgi monarchii—w takich trudnych jak dzisiejsze, politycznych i narodowych stósunkach—gdyby kilkanaście krajów koronnych posiadało w Austrii zupełnie odrębne polityczne organizmy, z własnymi parlamentami i przed tymiż odpowiedzialnymi ministrami? Prawo historyczne przestaje być prawem, gdy terażniejsze życie doprowadza *ad absurdum*.



Na tej drodze nie mogli Polacy podążać za Czechami, rozstroiliby bowiem byli cały ustrój monarchii, narażając przez to jednocześnie na największe niebezpieczeństwo przyszłość zachodniej Słowiańszczyzny. Darmo! Można się zżymać na niesprawiedliwości dziejowe, ale nie wolno w terażniejszości nie rachować się z dokonaniem faktami. A dziś faktem jest, że w Czechach żyje i pracuje 3 miliony Niemców, których sprawiedliwość nie pozwala przecie ani wytopić, ani uciemieżyć, ani wynaradawiać. Dzisiaj żaden minister, dbały o potęgę i pomyślność monarchii, nie może nic innego robić, jak pilnować w Czechach jak najściślejszego równouprawnienia obydwóch języków i narodowości w szkole, urzędach i prawach politycznych, jak przestrzegać, żeby hasła narodowe nie były nadużywane do sztucznego wywoływania plemiennych zawiści i do zaburzania porządku publicznego.

W tych granicach robili Polacy co mogli, by rozwój Czechów popierać. Bez ich czynnej pomocy nie byłiby Czesi ani starli głowy hydrze centralistycznej, ani uzyskali większości w sejmie pragskim. Pierwszym krokiem prezesa ministrów Badeniego było zniesienie stanu obłączenia w Czechach.

Jeżeli Polacy nie popierają Czechów w ich narodowej walce, to pytam się, dlaczego pomimo wszelkich deklamacji radykałów młodoczeskich, czeska opozycja przeciwko rządowi stanowczo dziś złagodniała? A jeżeli chodzi o innych Słowian, to czyż nie popierali Polacy gimnazjum słoweńskiego w Cylei? Czyż nie popierali go wbrew groźbom i srożeniom się niemieckim, nie wahając się nawet dopuścić z tego powodu do powalenia koalicyjnego ministeryum, w którym Polacy mieli w ręku poważne ministeryalne teki? Zdaje mi się, że

mielibyśmy prawo prosić o więcej przedmiotowy i sprawiedliwy sąd, że mielibyśmy prawo żądać, żeby zarzuty przeciwko postępowaniu naszemu w Austrii opierały się na lepiej sprawdzanych faktach, żeby również żądania nam stawiane opierały się na możliwych do osiągnięcia celach i żeby silniejszą miały podstawę jak pustą frazeologią tych słowiańskich ideologów, którym się zdaje, że na początku ugruntował Bóg ich naród, oddając mu królowanie nad losem wszystkich państw i ludów na całej kuli ziemskiej. Sto lat żyliśmy sami w takim obłędzie i nie myślimy do niego powracać.

5) Piąty i szósty zarzut p. Baszkirowa stoją w tak ścisłym ze sobą logicznym związku *a contrario*, to jest do tego stopnia wzajemnie się wykluczają, że musimy odpowiedź na nie w jedną połączyć całość. Pan Baszkirow boleje nad tem, że Polacy zachowują się obojętnie na wprowadzanie języka węgierskiego do kościołów Słowian węgierskich, a zaraz potem życzy nam, żebyśmy nie łączyli spraw religijnych z narodowościami! Przyzna szanowny Autor, że zanadto rozminął się tu z logiką. Może być on o to spokojnym, że dosyć dało się nam przez sto lat we znaki łączenie religii z polityką, aż zanadto mieliśmy sposobności przekonania się, jak taki związek obniża prawdę wiary w sercach, jakie sprowadza dla niej zubożenie, jak rozluźnia duchowy związek z powszechną prawdą Chrystusową i opartą na niej cywilizacją, jak więc osłabia wartość i siłę narodową, żebyśmy mieli na nowo popaść w to samo zboczenie moralne. To też niech nam raczy wybaczyć szanowny Autor, ale przyjmując z wdzięcznością to jego życzenie, nie możemy choćby już dla tego samego rozpoczynać jakiegokol-

wiek politycznej akcji przeciw wprowadzeniu języka węgierskiego do Kościołów Słowian w sąsiednim nam kraju węgierskim. Powszechny katolicki kościół nie potrzebuje szukać obrony przeciw napaści szowinizmów narodowych między religijno-politycznymi dyletantami i ochotnikami, bo znajduje on zawsze dostateczną ochronę w samej istocie swojej powszechności, wznoszącej się ponad narodowe i polityczne interesa tego lub owego państwa; ma on naturalnego obrońcę w swoim pasterzu, rezydującym na opoce Piotrowej, który nie potrzebował i teraz na to suflerowania Polaków, by zakazać biskupom na Węgrzech wprowadzenia języka węgierskiego w dodatkowe nabożeństwo Słowian.

Na zakończenie poważę się także przesłać szanownemu Autorowi życzenie noworoczne zarówno dla niego jak dla tych jego ziomków, którzy szczerze pragną zgody i porozumienia się z nami, iżby nie wypuszczali tego z pamięci, że zgody nie buduje się na wielkich pomysłach, zmierzających do wywrotu wszystkich istniejących międzynarodowych stósunków, ale na miłości chrześcijańskiej, sprawiedliwości i prawdzie; ale na pracy bez wytchnienia, żeby poczucie miłości sprawiedliwości i prawdy we własnym swoim zaszcześcić narodzie.

Łoniów, dnia 18 Stycznia 1897 roku.

*Jerzy Moszyński.*







v.

# LIST

## DO REDAKCYI „SŁOWA“

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI

1897.





## Do Szanownej Redakcyi „Słowa“.

W artykule p. t. »Radykalizm w Galicyi«, zamieszczonym w N-rze 80 *Słowa* z r. b. wyczytałem następujące zdanie:

### I.

»Wszyscy, którzy pamiętają pierwszą epokę życia parlamentarnego w Galicyi, przypominają sobie, że dzięki nieuregulowanym służebnościom »lasy i pastwiska« były tematem, na około którego obracały się rozprawy pomiędzy szlachtą a chłopami w sejmie«.

»Nie zapuszczamy się w dalsze szczegóły i nie przypominamy całego szeregu innych przyczyn, które przygotowały grunt dla bujnego wzrostu posiewu panów Daszyńskich i Stojałowskich. Nie chodzi nam wcale o zamilczenie winy, jaka spada na większą własność, na szlachtę galicyjską, która nadmiernie podrażniona niewłaściwym sposobem przeprowadzenia uwłaszczenia, *we włościaninie widziała wroga, przeciwko któremu walczyć należało*«.

Wskazując od lat kilkunastu na zaniedbanie obowiązków szlachty względem ludu wiejskiego, jako na główne źródło, z którego sączyło się bałamucenie ludu wiejskiego w Galicyi przez liberalny doktryneryzm, a z którego w naturalnej konsekwencji, wypłynęli następnie panowie Stojałowscy i Daszyńscy, poczuwam się tembardziej do obowiązku wystąpienia w obronie krzywdy, wyrządzonej szlachcie galicyjskiej tem powie-

dzeniem, które zaplątało się do artykułu szanownego pana A. D., z pewnością tylko z powodu niedostatecznej znajomości galicyjskich stosunków.

Nie przeczę, że lasy i pastwiska były, tak samo w Galicyi, jak i gdzieindziej podatnym konikiem dla apostołów przewrotu społecznego do uganiania po szerokiem polu waśni społecznej. Od tego jednak droga bardzo daleka do twierdzenia, że one były punktem środkowym rozpraw pomiędzy szlachtą a chłopem w sejmie, lub też, że szlachta galicyjska, jako całość uważała lud wiejski za wroga. Przeczą temu twierdzeniu zarówno stenografy z sejmów galicyjskich, jak organa konserwatywnej prasy. Nie mam ich tu pod ręką, ale nie boję się tego, by mi ktokolwiek mógł zarzucić kłamstwo, gdy powiem, że ogół tej szlachty pragnął, jak najgoręcej podnieść lud wiejski pod względem moralnym i patryotycznym i to uważał za jedno z najważniejszych swoich zadań. Jeżeli szlachetne te chęci nie odniosły pożądaných skutków, to tylko dlatego, że konserwatywne galicyjskie stronnictwo uwierzyło za silnie w recepty demokratyczno-liberalnego doktrynerstwa, i z całym zaparciem się siebie poświęcało dla nich nawet same podstawy własnej swojej społecznej siły i znaczenia, kierując wszystkie zasoby swoich dobrych chęci i osobistej ofiarności w polityczne koryto patryotyczno-liberalnych haseł, prowadzących wodę na młyn *Nowej Reformy*, a następnie *Naprzodu*.

## II.

Szanowny Autor powiada słusznie, że:

»Z gruntu tylko mylnem nam się wydaje rozumowanie krótkowidzów, którym się zdaje, że takich panów Stojałow-



skich, Kozakiewiczów *e tutti quanti*, pozyskać było można, lub dziś jeszcze można przez inne obchodzenie się z nimi czyli innemi słowy przez jakiś rodzaj schlebiana im«.

Mniej jednak zdanie to wyda im się słusznem, jeżeli rozciągnie się je do całych stronnictw, które one reprezentują. Pomiędzy schlebaniem bowiem, a odsądzaniem ludzi od czci i wiary za to tylko, że mają błędne przekonania, lub, że nie mają tych samych, co my przekonań, ogromna zachodzi różnica. Przecież ani Stojałowski, ani Daszyński, ani Kozakiewicz nie wyrosli na galicyjskim gruncie, jak *deus ex machina*. Lat temu kilkanaście nie przypuszczał nawet nikt możliwości odgrywania przez nich szerszej politycznej roli. Walka wówczas toczyła się pomiędzy stronnictwem *Stańczyków* a stronnictwem *Reformy* przechrzczonej potem na *Nową Reformę*. Stronnictwo *Stańczyków* miało tą wielką wadę, że postawiło wszystkie swoje siły na kartę polityczną, uważając nawet patryotyzm społeczny za zgubny i niebezpieczny, jak to potwierdza zresztą pan St. Koźmian w swojej *Rzeczy o roku 1863*. Bezpośredni następstwem tego było, że kierunek pracy społecznej wysunął się z rąk stronnictwa konserwatywnego, t. j. stronnictwa, które wywiesiło na sztandarze hasła katolicyzmu i tradycyi i dostał się w ręce postępowych liberałów, którzy podjęli pracę społeczną na polu zupełnie dla nich obcym i niedościgłym. Dziennikarz trawiący czas pomiędzy czterema ścianami izby redakcyjnej a miejskimi demokratycznymi i literackimi klubami, adwokat nie wyjeżdżający z miasta chyba do Zakopanego lub Krynicy podczas letnich feryi, doktor oddany praktyce w Krakowie lub we Lwowie, poeta, żyjący tylko między kwiatami i cierniami własnych swoich uczuć, o to był nowy sztab, który za-

garnął w swoje posiadanie pracę nad ludem wiejskim jako *res nullius*, porzuconą przez tych, do których ona należała z natury rzeczy. Naturalnie, że sztab ten, chcąc lud podnosić z za redakcyjnego stolika, miał ku temu jedną tylko drogę, t. j. drogę sztucznej agitacji, a więc musiał zwrócić się o pomoc do szkolnej i uniwersyteckiej młodzieży. By tą pozyskać, musiała *N. Reforma* schlebiać jej próżności, musiała wtorować radykalnym patryotyczno społecznym teoryom, które zawsze i wszędzie są ponętną wędką na nieprzetrawione umysły i serca. Zaczęto więc uderzać w nutę szowinizmu patryotycznego, w nutę nieprzedawnionych praw Polski do niepodległości, w nutę szkalowania *Stańczyków* za ich legalizm, a jednocześnie postarano się o stworzenie sztucznych organizmów, któreby mogły zastąpić brak naturalnego łącznika między kierownikami *Nowej Reformy* społeczeństwem. Stworzono więc Sokołów, Towarzystwa oświaty ludowej i t. p. Stańczycy, przerażeni temi postęпами przeciwnika chwycili się najnieszcześniejszej taktyki. Zamiast rozwinąć, jak najenergiczniejszą akcją ciągłej pracy społecznej nad ludem wiejskim, na właściwym jej gruncie, t. j. na wsi, we dworach szlacheckich, na którym żadna agitacyjna działalność nie mogła ich była prześcignąć, zaczęli oni robić desperackie wysiłki, by *Reformistom* wydrzeć ich własną broń i nią ich pokonać. Zaczęto więc robić bezskuteczne starania, by zawładnąć to *Sokołami*, to towarzystwem oświaty ludowej, a gdy to zawiodło, zaczęto schlebiać patryotycznym i szowinistycznym hasłom i demonstracyjnym komedynom urządzanym przez obóz liberalny, w celu pozyskania młodzieży. Tłómaczono więc *urbi et orbi*, że fałszem jest, jakoby Stańczycy wyrzekli się myśli niepodległości Polski, że przeciwnie uważają ją za ideał, bez której naród zamieniłby się w stado bydła, że fałszem jest, iż nie pra-



cują oni dla tegoż ideału, bo przeciwnie zarabiają oni na niego mądrze i skutecznie, a przeciwnicy nie mądrze i nie skutecznie. Jednocześnie pomimo wahań i dąsów łączyło się stronnictwo konserwatywne, ze wszystkimi wielkimi teatralnymi występami, inscenowanemi przez *Nową Reformę*, pocieszając się, że w ten sposób odbiorą im cechę niebezpiecznego szowinizmu, a zamienią je na poważne objawy ducha narodowego.

Dość wspomnieć tu, jako przykład obchód Kraśzewskiego, na którym wzorowało następnie Stańczykowskie stronnictwo swoje postępowanie przy udziale we wszystkich, co dwa lata urządzanych patryotycznych szopkach. W ten sposób zajęte przez Stańczyków stanowisko w działalności społecznej zidentyfikowało się prawie zupełnie ze stanowiskiem *Nowej Reformy* i ta chyba między nimi zachodziła różnica, że *Nowa Reforma* dawała inicjatywę, a Stańczycy wlekli się z niechęcią za jej komendą. Wobec rzeczywistych i poważnych zdobyczy, osiąganym na polu politycznym, pozycja ta stawała się dla Stańczyków coraz to więcej niewygodną i upokarzającą. Pragnienie wydarcia *Nowej Reformie* sztandaru pracy społecznej — pojętej naturalnie po galicyjsku t. j. pracy nad zapewnieniem sobie, jak najlepszych szans przy wyborach — wyprowadziło z równowagi galicyjskich konserwatystów. Zaczęto więc miotać obelgami, nieraz kłamstwem lub niczem nieuzasadnionemi krzywdzącemi insynuacyami na *Nową Reformę*, która ze swojej strony teje samej używała broni. Rozgoryczenie, nieledwie, że zawiść, doszły do najwyższego stopnia naprężenia. W tej drukowej walce *Nowa Reforma* miała wielką wyższość, organicznego związku między podstawą swojego szowistycznego patryotyzmu a swoim działaniem, gdy przeciwnie *Stańczycy* osłabiali przed społeczeństwem ogromnie swoje



stanowisko, chcąc z podstawy legalnej, środkami szowinistycznymi, doprowadzić społeczeństwo do pojęć rozumnej, realnej polityki. Jest to bowiem rzeczą pewną, że pomimo utartego przekonania o kapryśności opinii publicznej, w gruncie rzeczy jednak ogół społeczeństwa więcej dba o ścisłą logikę systemu, dla którego chcielibyśmy go pozyskać, jak o jego wewnętrzną wartość.

Ten rodzaj nieprzebierania ani w środkach, ani w słowach w gazetarskiej walce z *Nową Reformą*, osłabił bardzo stanowisko *Czasu* i *Przeglądu Polskiego*.

Jeżeli przyznałem słuszność p. A. D., że Stojalowskich lub Daszyńskich nie można było pozyskać innem obchodzeniem się z nimi, to muszę tu wyrazić przekonanie, że nie byłoby tych panów, gdyby *Stańczęcy* byli przyjęli więcej względny system polemizowania względem stronnictwa *Nowej Reformy*, gdyby nie byli tą samą, co ona walczyli bronią. Jak to już bowiem powiedziałem, stronnictwo liberalne nie wydarło konserwatystom z rąk pracy społecznej, ono podjęło ją wówczas, gdy ją wyrzucili ci ostatni przez okno.

Pomimo więc zupełnie fałszywych i niepraktycznych dróg, jakie *Nowa Reforma* obrała w tej pracy, nie można powiedzieć, żeby myśl sama była potępienia godną. To też nie ulega wątpliwości, że większa część najgorliwszych wyznawców tego sztandaru, przyłączyła się do niego z przekonania, o potrzebie pracy społecznej, a przyłączyła się do niego dlatego, że innego sztandaru tej pracy nie było w kraju. I nie wątpię, ani na chwilę, że gdyby *Stańczęcy* zamiast szkalować przeciwników byli sami podjęli tą pracę na właściwym jej gruncie, jak o to błagałem ich przed 10-ciu laty, to połowa najgorliwszych stronników *Nowej Reformy*, byłaby stanęła w ich szeregu. Stało się jednak niestety

inaczej. Praca społeczna nad ludem stała się monopolem w rękach liberalnego stronnictwa, a więc stronnictwa, dla którego chrześcijaństwo jest albo zbyt ciężkim balastem, albo tylko narzędziem ułatwiającym zwycięstwo idei materialnego postępu. Ostatecznie drukiem i studencką propagandą zachwiewało liberalne stronnictwo w ludzie wiejskim wszelkie uszanowanie do jakiegokolwiek władzy i powagi, czy to duchownej, czy świeckiej, czy społecznej. Jeżeli zaś, który ze znakomitych wyznawców galicyjskiego liberalizmu i ludowej oświaty, miał sposobność wejść w bezpośrednią, stalszą styczność z tym ludem, to tylko na to, by obedrzeć go ze wszelkiego moralnego poczucia i z ludzkiej nawet godności. Pójdziecie między ten lud, w okolicach, gdzie ksiądz Stojalowski najgorliwszych ma wyznawców, a przekonacie się, że najczęściej znajdował on już tam dla swojej działalności grunt, przygotowany przez apostołów liberalizmu i oświaty ludowej. Nie wojuję tu ogólnikami, ja twierdzę to na podstawie sprawdzonych przez siebie faktów. Zresztą w przygotowaniu gruntu pod tym ostatnim względem nieraz współzawodniczyli z liberalnymi konserwatywni nasi koryfeusze, siejąc na nim najgrubszą niemoralność. Tak samo jedni, jak drudzy nie wahali się oddawać chłopca na pastwę żydowskich dzierżaw, by poświęcić się tymczasem dla jego »podniesienia« czy to w sejmie, czy w radzie państwa, czy biurach redakcyjnych.

Myli się szanowny autor przypuszczając, że radykalizm dostał się do Krakowa i Lwowa ze wsi. Radykalizm bowiem dzisiejszy rozpoczął się od nuty szowinistycznego patryotyzmu rozbudzonego przez *Nową Reformę* między młodzieżą szkolną i uniwersytecką. Ona, jak to powiedziałem, chciała zrobić z młodzieży apostołów patryotyzmu i *uobywatelenia* między ludem. Na-



turalnie, że młodzież ta rozbudzona w kierunku radykalnego szowinizmu, nie mogła długo zadawałniać się próżnią czczej patryotycznej frazeologii bez treści i pustymi komediami patryotycznymi odgrywanymi na rynku krakowskim.

*Nowa Reforma* zachwiała w niej wszelkie zaufanie do senatu akademickiego, do wszystkich powag społecznych, lecz sama też niedługo potrafiła utrzymać między tą młodzieżą swój urok i wzięcie. Zdezorganizowawszy bowiem moralnie młodzież, sama zrobiła ją ponętą zdobyczą dla tych prądów i ludzi, którzy — zamiast jakichś dalekich nieokreślonych aspiracji narodowej niepodległości, do której nikt im nie mógł wskazać praktycznych dróg, bo tych nikt nie widział przed sobą — postawili im cel równie wprawdzie niedościgły, ale którego niewykonalność nie przeszła jeszcze przez próby ogniowe czynu, a który za to trafiał we wszystkie struny niskich namiętności złożonych w skażonem sercu ludzkości. Nie długo więc potrzeba było na to czekać, że większość młodzieży akademickiej; stała się ślepem narzędziem w ręku wszystkich żywiołów, dla których polityczna świetność w Galicyi jest solą w oku. Przez dwa ostatnie wieki istnienia Rzeczypospolitej polskiej rolę tą odgrywała w niej magnaterya i szlachta. Dziś nieszczęścia krajowe wyświetliły pod tym względem sumienia tych warstw przewodnich, a ich dawna rola spadła na lekkomyślną młodzież szkolną i na biedny, ciemny i obalamucony lud wiejski.

Najzarliwszym nieprzyjacielem powodzenia Polaków w Austrii, jest było i będzie liberalne żydowstwo wiedeńskie. Ono to czując, jak dawny jego wpływ na losy państwa usuwa się mu z pod nóg, doprowadzone do rozpaczki porażką przy wyborach wiedeńskich, wydało hasło wybierania socjalistów w Galicyi, w Czechach



i na Morawie. Byłem przed samemi wyborami z V kuryi na wsi w krakowskiem i miałem sposobność przekonania się, że głównymi agitatorami między ludem wiejskim na rzecz Daszyńskiego, byli najpospolitsi Żydzi nasyłani z Krakowa i obiecujący chłopom, że Daszyński rozda im pastwiska i lasy dworskie, jeżeli obiorą go postem.

Szanowny Autor twierdzi, że tacy Daszyńscy i Stojałowscy, zawsze będą Daszyńskimi i Stojałowskimi, jeżeli tylko znajdą podatny grunt do swojego działania.

Ja powiem więcej, że tacy Daszyńscy lub Stojałowscy, ci lub inni znajdują się zawsze i wszędzie, dopóki warstwy społeczne narodu nie obejmą szczerze i gorliwie kierunku pracy społecznej nad ludem, dopóki wyręczać się w tem będą czy to nauczycielem gminnym, czy pisarzem pokątnym, czy żydem dzierżawcą. Znajdą się oni zawsze tak samo, jak znajdowali się Sicińscy lub inni, którzy na obcą komendę rozstrajali polityczny organizm dawnej Rzeczypospolitej polskiej, dopóki przodujące warstwy społeczne nie zdobędą się na odwagę porzucenia w stosunkach swoich względem kraju wygodnej drogi niedomówień społecznych i politycznych dwuznaczników, dopóki nie wystąpią one przed nim z całkowitą świadomością prawdy, i z jasnym, stałym i realnym celem narodowych dążeń.

*Jerzy Moszyński.*

Łoniów, dnia 12 kwietnia 1897.



VI.

# ODPOWIEDŹ

JERZEGO MOSZYŃSKIEGO

na krytykę p. Malinowskiego broszurki p. t.

**„W KWESTYI KREDYTU WŁÓSCIAŃSKIEGO”,**

zamieszczoną w Nr. 13 »Zorzy« 1897 r.

Kraków, 1897.





## Odpowiedź na krytykę pana M. Malinowskiego

broszurki p. t.

w „sprawie kredytu włościańskiego.”

---

„Jeżeli się potrzeba przechwalać z tego, co w krewkości mojej jest, przechwalać się będę. Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, który na wieki błogosławiony, wie iż nie kłamam».

### I.

Indywidualizm duszy ludzkiej zarysowuje się daleko silniej w sercu niż w rozumie. To jest powodem dlaczego łatwiej spotkać się z ludźmi na tej samej niwie poglądów praktycznych i naukowych, jak na tym samym gruncie uczuć. Im rzadziej spotykamy w życiu wspólny ten grunt, tem większe sprawia on nam zadowolenie. To też spotkawszy się z nim z szanownym krytykiem mojej broszurki, nie mogę pominąć milczeniem jego poglądu.

Ten sam moralny wstręt do powoływania się na owoce swojej działalności, który ogarnia szanownego krytyka, wstrzymywał mię przez długie lata od publicznego propagowania mojej myśli, pomimo tego, że uważałem ją za zbawienną dla kraju. Przez lat czterna-

ście próbowałem po cichu nakłaniać ludzi, poczuwających się do obowiązków obywatelskich i mających ku temu stósowne środki, do zaprowadzenia u siebie mojego systemu kredytu włościańskiego, żywiąc nadzieję, że w ten sposób system ten szerząc się po kraju, stanie się sam najlepszym swoim apostołem. Niestety, nadzieja ta zawiodła mię zupełnie. Ani jednego człowieka nie udało mi się nakłonić osobistą namową do wprowadzenia w czyn mojej myśli. Wszędzie spotykałem się z powątpiewaniem o materyalnej i moralnej skuteczności tegoż środka. Pesymistą nie byłem i nie jestem i dlatego nie zwątpiłem o tem, iżby w kraju naszym nie miało się znaleźć sporo ludzi dobrej woli którzyby dążenia moje poparli czynem.

Przekonałem się jednak, że osobiste wyszukiwanie ich po całym kraju, jest dla mnie rzeczą niemożliwą, bez zaniedbania swoich własnych zajęć i obowiązków. Stanąłem więc wobec alternatywy: albo zrzeczenia się wszelkich usiłowań w tym kierunku, albo wyręczenia się drukiem, a więc użycia środka, z którym przy propagowaniu tej kwestyi, musiało się łączyć ustawicznie wstrętne publiczne mówienie o własnej swojej działalności.

Długo walczyłem ze sobą; w końcu jednak powiedziało mi moje sumienie, że nie mam prawa do zagrzebywania w ziemi »talentu,« włożonego mi w rękę przez Opatrzność; że nie mam prawa milczeć dla uchronienia się przed zarzutem samochwalstwa, skoro doświadczenie moje może być pożytecznem dla kraju; że nie mam prawa milczeć w chwili, gdy zaczyna nam świtać jutrzienka naszego życia, którego przyszłość zależy przedewszystkiem od dobrego i rozumnego założenia stałych społecznych fundamentów.



## II.

O ile uczucie moralnego wstrętu, przejmujące szanownego krytyka, zupełnie jest dla mnie zrozumiałem, o tyle trudniejszym jest dla mnie podążanie za nicią logiki jego rezonowania. Nie jest mi dostatecznie jasnym, co właśnie w mojej broszurce przejmuję wstrętem pana Malinowskiego. Zdawałoby się, że moje samochwalstwo, jeżeli przyjmemy ten punkt zapatrywania, to z wyjątkiem motywów politycznych, wszystko od początku do końca można w niej uważać za samochwalstwo. Dlaczego więc pozwala mi się szanowny krytyk przechwalać odniesionemi przezemnie rezultatami finansowemi, a ma mi za złe przechwalanie się owocami zebranemi na polu moralnem? Przecież, jeżeli pan Malinowski raczył uznać moją działalność kredytową za czyn znaczny, to z pewnością nie dlatego, żem wskazał sposób nowej bezpiecznej lokacyi kapitału, lecz dla tego, że działalnością tą zdobyłem środek do urzeczywistnienia społecznej i politycznej harmonii, że udało mi się wynaleźć praktyczny sposób umoralnienia ludu przez szlachtę i do otwarcia przed tą ostatnią drogi do pełnienia społecznych obowiązków względem tegoż ludu.

Chcąc nakłonić ludzi do użycia pewnego środka, nie wystarcza nam sam dobry zamiar. Im trzeba udowodnić, że środek ten rzeczywiście prowadzi do zamierzonego celu. Gdybym był — idąc za radą szanownego krytyka — zaniechał przedstawienia osiągniętych moralnych owoców, ograniczając się tylko do rezultatów materialnych, to musiałbym chybić celu. Pod finansowym bowiem względem, system moich poży-

czek nikogo nie mógłby zachęcić, skoro pierwszy lepszy bank, dający 8 do 12<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, albo pierwszy lepszy lombard żydowski, przynoszący 24 lub 50<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, daleko lepsze materialne zapewnia korzyści.

### III.

Zdaje mi się, że powodem sądu szanownego krytyka, jest niedokładne zrozumienie myśli i celu mojej broszury.

„200, 300, 400 rub.« — cytuje z niej pan Malinowski — „każdy mieć może, aby je dać na cztero procentowe pożyczki, zahipotekowane i aby mieć stokroć od tego większy jeszcze procent moralny, procent *zasługi obywatelskiej*«.

Pomimo, że cytat ten ujęty jest w cudzysłowy, nie jest on bynajmniej dokładnym. W broszurce mojej nie wspominam nigdzie o zasłudze obywatelskiej, lecz od początku do końca nawołuję do obowiązków obywatelskich. Zachodzi w tem ogromna różnica pojęć. Jeżeli bowiem stokrotnym procentem moralnym ma się nagrodzić zasługę obywatelską, to oczywiście wszystkie pozytoczone przeze mnie aktywa tego oprocentowania muszą iść na karb udawadniania tejsze zasługi. Przeciwnie rzecz się przedstawi, jeżeli się wyjdzie z założenia obowiązku obywatelskiego, a więc pojęcia bezprocentowego, oprocentowanie zaś odda się w całości na rzecz wzrostu moralności chrześcijańskiej w pośród ludu wiejskiego. Wówczas cytowane przemnie przykłady moralności tegoż ludu i budzącej się w nim ufności do szlachty, przestają być samochwalstwem, a stają się drogowskazem skutecznego wypełnienia obowiązków społecznych przez szlachtę. Temu przecież nikt nie za-

przeczy, że ogromna ilość dobrych i szlachetnych chęci marnuje się u nas tylko przez niepraktycznie obraną drogę do celu. Spróbujmy zaprowadzić ten sam system pożyczek, ale pozostawmy bez wyboru jego wykonanie rządcom lub ekonomom, a sami bądźmy tylko gościem u siebie na wsi, lub co gorzej uważajmy za główny cel życia strzelanie gołębi na Rywierze, lub uganianie po torach wyścigowych, a przekonamy się, czy osiągniemy naszymi dobrymi chęciami chociażby najmniejszy moralny skutek. Może być, że włościanin wzbogaci się pożyczką, jeżeli go rządca lub ekonom nie wyzyska, ale z pewnością powie sobie w duchu, że trzeba korzystać z pożyczek pana, skoro taki głupi, że woli 4<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, jak 10<sup>0</sup>/<sub>0</sub>, ale najmniejszego do niego nie nabierze zaufania i życzliwości.

Powiada szanowny krytyk, że

»Rozumy a znaczny czyn dojrzałego człowieka, nie potrzebuje *wymyślnych przyczepiek.*«

Nie dobrze rozumiem znaczenia tych ostatnich słów. Jeżeli mają one oznaczać, że czyn nie potrzebuje udowadniania, to na to zgoda. Ale mnie nie chodziło o udowadnianie mojego czynu, ani mojej zasługi obywatelskiej, ale o wskazanie, jakimi drogami można dojść do moralnego dobrego wpływu na lud.

Najmniej jednak zrozumiałem jest dla mnie rzucone mi pytanie przez pana Malinowskiego: Po cóż i dla kogo ma brzmieć fałszywa nuta przyczepianych pięknych czynów? Zdaję mi się, że kto uważnie przeczytał moją broszurkę, kto nie doczepiał się do niej zamiaru gonienia za zasługą obywatelską, dla tego widocznem jest, że przeznaczoną jest ona dla tej war-



stwy narodu, którą tradycja zrobiła moralnym jego kierownikiem, a celem wszystkich moich wywodów bez wyjątku, jest *oparcie społecznej pracy narodowej o stały grunt istniejących politycznych warunków i doprowadzenie do zdrowia rosyjsko-polskich stosunków przez zbudowanie dla nich niespożytych fundamentów wspólnego chrześcijańskiego działania.*

Z prawdziwym szacunkiem

*Jerzy Moszyński.*

Łonów, 8 kwietnia 1897.

VII.

# LIST OTWARTY

DO

Prezydyum sekcji rolnej w Warszawie

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI.

1897.





## Do Szanownego Prezydium

sekcji przemysłu rolnego warszawskiego oddziału Towarzystwa popierania  
rosyjskiego przemysłu i handlu.

Przeczytawszy udzielony mi łaskawie memoriał w sprawie służebności włościńskich, uważam za swój obowiązek zawiadomić szanowne Prezydium, że chociaż uznaję niesłychaną ważność regulacji służebności dla ekonomicznych i moralnych stosunków Królestwa Polskiego, to jednak nie mogę się zgodzić z treścią memoriału, o którym mowa, a to z następujących powodów:

Zdaniem mojem sekcja rolna, jako instytucja publiczna, powinna w poglądach swoich wznieść się ponad względy prywatne zrobienia dogodności temu lub owemu bankrutowi lub geszefciarzowi. Dobro całego społeczeństwa i jego przyszłość, powinny być główną nicią przewodnią wygłaszanych przez sekcję poglądów. Nic tą zerwała stanowczo szanowna redakcja memoriału, powołując się na następujący argument:

»Lecz jeżeli służebności tak uciążliwymi były dla właścicieli od chwili zaprowadzenia, to z chwilą zaostrenia się kryzysu rolnego, wywołanego przez niepomierne spadki cen zboża, pozbawiają one wielu właścicieli wszelkiej możliwości ratunku. Upadający pod ciężarem kryzysu właściciele ziemscy, mogliby znaleźć nieraz jedyny jeszcze ratunek i jako

tako pomyślną likwidacją swych długów w przedaży gruntów przy pomocy banku włościańskiego».

Zdanie powyższe możnaby chyba zestawić w jednym rzędzie z radą daną żołnierzowi, by dla uniknięcia grozy wojny, sam sobie w łeb wypalił. Nie pomogą tu żadne sofistyczne wykręty. Albo uważamy szlachtę i większą własność za żywioly nieużyteczne i społecznie szkodliwe — a w takim razie powinniśmy przyklaskiwać zarówno służebnościom, jak bankom parcelacyjnym, jako najskuteczniejszym narzędziom do wysadzenia szlachty z majątków ziemskich; albo też uważamy szlachtę i większych właścicieli ziemskich za niezbędne czynniki zdrowego cywilizacyjnego rozwoju, a w takim razie powinniśmy uważać za zgubne dla naszego społeczeństwa zarówno służebności, jak banki parcelacyjne. Jedne i drugie bowiem prowadzą do ruiny majątków szlacheckich. Że sfery rządowe nie uważały nigdy parcelacyi szlacheckich majątków za rzecz pożyteczną dla społeczeństwa, dowodzi tego najlepiej fakt, że w rdzennej Rosyi nietylko nie protegowano tejeże za pomocą banków, ale przeciwnie podtrzymywano wszelkiemi sposobami zagrożoną w swoim bycie własność szlachecką. Ważność społeczną szlachty uznał cesarz Mikołaj II, w swojej przemowie podczas uroczystości koronacyjnych w Moskwie. Dzisiaj, gdy cesarz Mikołaj II, najwyraźniej powiedział, że pragnie szczęścia wszystkich swoich poddanych, i że ufa szczeroci uczuć swych polskich poddanych, protekcyja działalności banku włościańskiego, przez rząd mogłaby być chyba motywowaną za pomocą naciąganej sofistyki, wysilającej się, by interes kilkudziesięciu bankrutów lub geszefciarzy przedstawić przed monarchą, jako interes całego polskiego społeczeństwa.

Z tą przewrotną sofistyką nie wolno solidaryzować się jednemu ciału zbiorowemu, mającemu prawo podnoszenia głosu w obronie, a nie na zagładę stanu rolniczego.

Pojedyncze przykłady prywatnej korzyści niczego tu dowieść nie mogą. Przecież i lichwa nie jednego uratowała od hańby lub głodowej śmierci, a pomimo tego, kto ośmieliłby się stawać w obronie lichwy, jako pożytecznej dla społeczeństwa instytucji?

Straszną plagą rolnictwa naszego stały się służebności nurtujące od trzydziestu kilku lat dobry byt kraju tutejszego. O tem nikt z nas z pewnością nie wątpi. Za pomocą Boga jednak plagę tą przetrzymaliśmy przez całą trzecią część wieku, nie na to chyba, by zażegnawać ją doszczętnem niszczeniem ognisk rodzinnych, przekazanych nam przez przeszłość.

Z prawdziwym szacunkiem

*Jerzy Mossyński.*

Łonów, 20 października 1897 r.





VIII.

# ARTYKUŁ

z powodu dymisji hr. Badeniego

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI.

1897.





Klęska polityczna przestaje być tylko wówczas klęską narodową, jeżeli naród umie z niej wyciągnąć naukę na przyszłość. Stoimy dziś wobec strasznej klęski, poniesionej przez żywioł polski w Austryi. Rozmiarów jej nie zmniejszymy bynajmniej ani zatajając przed sobą jej doniosłości, ani zrzucając na przeciwników odpowiedzialności za nią.

Gdy hr. Kazimierz Badeni obejmował ster rządów wewnętrznych Austryi, wypowiedział on mowę, która przejęła otuchą wszystkich ludzi, pragnących, by kierownictwo losami tejże monarchii wychodziło z góry, a nie z dołu. Rzucił on wówczas pamiętne te słowa, że on będzie kierował pracami parlamentu, a nie pozwoli na to, by parlament kierował rządem. W stósunkach międzynarodowościowych, wygłosił on zasadę, że żywiołowi niemieckiemu należy się w Austryi poważne stanowisko zarówno ze względu na historyczny rozwój tejże monarchii, jak ze względu na narodowość panującego w niej domu. *»Nie pojmuję w Austryi rządów bez Niemców,«* zapewniał hr. Badeni.

Stało się jednak inaczej. Nie długo trzeba nam było na to czekać, by się przekonać o tem, że słowo z ust leci szybko, nim się w czynach złamie. Prędko przekonaliśmy się o tem, że mowa byłego prezesa ministrów nie była jego programem, ale pustym frazesem, w którą nie wierzyła ani większość parlamentarna, ani

mniejszość, ani sam nawet hrabia Bedeni. Podczas gdy hr. Badeni zamierzał rozporządzeniami językowemi uspić drażliwość Młodo Czechów, by tymczasom w związku z liberalną partją niemiecką przeprowadzić przez parlament najważniejsze zadania polityki wewnętrznej, a mianowicie: ugodę z Węgry; koło polskie, porwane programem postawionym przez hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, połączyło się po za plecami prezesa ministrów z Młodo Czechami i wypchnęło liberalnych Niemców z większości parlamentarnej.

Hr. Badeni nie miał innego wyboru, jak albo podać się sytuacji wytworzonej przez parlament wbrew swoim zamiarom, albo ustąpić. Bez względu na sympaty, które żywię dla programu większości, muszę to zaznaczyć, że hr. Badeni wybierając pierwszą alternatywę, wytworzył sobie sytuacją, wśród której czekały go odtąd klęska po klęsce i to klęski coraz groźniejsze nietylko dla jego gabinetu, ale również dla powagi władzy i dla przyszłości monarchii. Jak wiadomo, opozycja niemieckiej mniejszości, zagłuszywszy w sobie wszelki głos patryotyzmu i godności, przyjęła w całej pełni anarchiczną tradycją dawnego polskiego *liberum veto*. Nie zawahała się też ona przed żadnymi środkami gwałtu lub studenckiej psoty, by uczynić obrady parlamentarne niemożliwemi i niedopuszczyć do uchwał przez większość parlamentu. Posunięto się wreszcie do obelg, rzucanych w oczy najwyższemu reprezentantowi władzy obdarzonemu zupełnem zaufaniem monarchy.

Z próby tej nie zdołał wyjść zwycięzko pan prezes ministrów. Wyzywając Wolffa na pojedynek, złożył on dowód, że nietylko nie umie kierować parlamentem, ale nie umie nawet rozróżnić stanowiska swojego, jako reprezentanta władzy, od stanowiska prywatnej osoby

hr. Badeniego. Gdyby hr. Badeni miał być poczucie władzy, którą dzierżył, jako najwyższy doradca monarchy i wykonawca jego woli, to zamiast pojedynkowania się z Wolffem, byłby stanowczo zażądał od cesarza albo dymisyi, albo dańia mu środków rządzenia. Te zaś ostatnie mogły były polegać na rozwiązaniu parlamentu, zarządzeniu nowych wyborów, gdyby zaś te nie polepszyły stósunków parlamentarnych, na zawieszeniu praw konstytucyjnych, a w razie potrzeby na zaprowadzeniu stanu obłężenia lub wreszcie stanu doraźnego. Obrawszy drogę osobistej satysfakcyi sam wystawił hr. Badeni świadectwo ubóstwa swojej ministerjalnej władzy.

Rozwiązanie sytuacji takie, na jakie dziś patrzymy, stało się już odtąd tylko kwestyą czasu, a rozwiązanie to było najgorszem ze wszystkich możliwych rozwiązań. Nie pomogą tu sofistyczne sztuczki dziennikarskiej dialektyki, starające się wykazać, że hr. Badeni ustąpił nie przed wolą ulicy, skoro sam wyraźnie wyznał, że ustępuje z obawy, by dla jego osoby krew się nie lała.

Tak więc okazało się, że hr. Badeni nietylko nie potrafił dotrzymać kroku, jako kierownik prac parlamentarnych, ale co gorsza, że zdezerterował przed skandalami mniejszości parlamentarnej i przed groźbami ulicznego motłochu. Stało się dziś w Austrii to samo, co się stało we Francyi w końcu przeszłego wieku, gdy Ludwik XVI włożył na głowę frygijską czapkę; a stało się tylko dlatego, że prezes ministrów zapomniał o tem, że w czułośćkowość i w miękość serca wolno się bawić hr. Badeniemu, ale nie reprezentantowi sponiewieranej władzy, któremu Bóg sam włożył w rękę miecz sprawiedliwości ku chwale dobrych i ku



pomście złoczyńców. Zapomniał o tem hr. Badeni, że pierwszym obowiązkiem władzy politycznej, jest utrzymanie porządku publicznego i powagi władzy. Ustępując przed ulicznym motłochem hr. Badeni, zadał ciężki cios idei rządu. To też nie dziwota, że podkopanie powagi idei rządu odbiło się natychmiast na podkopaniu idei prawa. W ślad za ustąpieniem hr. Badeniego przed ulicą, nastąpiło ustąpienie przed nią najwyższego trybunału, który wbrew trzydziestoletniej praktyce konstytucyjnej i wbrew zdrowemu rozsądkowi, poważył się ogłosić za bezprawne rozporządzenia językowe wydane do Czech <sup>1)</sup>.

Jaka wobec tego wszystkiego czeka dziś Austryą przyszłość? Jeżeli życie polityczne Austrii nie jest wyjątem z pod wszelkich prawideł logiki, to zdawałoby się, że dwie dziś tylko drogi stoją otworem przed politycznym życiem Austrii. Albo niemiecka mniejszość, uzbrojona w orzeczenie trybunału, zabierze się do represyi w Czechach, a może i w Galicyi, której cała językowa autonomia polega na takichże samych ministerjalnych rozporządzeniach; a wówczas nie pójdzie ona za przykładem hr. Badeniego i nie cofnie się przed najgwałtowniejszem użyciem siły przeciw słowiańskiej większości; albo też ministerjum Gautscha jest tylko wstępem do przyszłego ministerjum Daszyńskiego, Kozakiewicza i Woffa, które terroryzując większość przywróci złoty wiek niemiecko-żydowskich centralistycznych rządów Austrii.

Czarnomin, 1 grudnia 1897 r.

*Jersy Mossyński.*

---

<sup>1)</sup> Wiadomość ta podana przez warszawskie »Słowo« okazała się mylną. Wypuszczenie jednak na wolność Wolffa śwładczy i tak o ustąpieniu prawa przed ulicą.

IX.

# List otwarty

DO .

W. Pana Mścisława Godlewskiego, redaktora „Słowa”

NAPISAŁ

JERZY MOSZYŃSKI.

Kraków, 1898.





## LIST OTWARTY

do W. Mścislawa Godlewskiego, redaktora „Słowa“.

*Wielmożny Panie!*

Powróciwszy parę dni temu do Łoniowa, przeczy-  
łem tu dopiero w N-rze 31 *Słowa* replikę pana A. D.  
na moją odpowiedź panu A. R. Doprawdy, że dopiero  
zabierając się do jakiegokolwiek działania wśród na-  
szych konserwatystów, można zrozumieć dlaczego ten  
obóz reprezentujący bądź co bądź największą sumę  
moralnych i materyalnych zasobów narodu, nie potrafi  
nigdy zdobyć się na inną rolę, jak potulnego narzędzia  
w ręku wszystkich materyalistycznych i przewroto-  
wych żywiół. Dziwne to zaiste stronnictwo, którego  
zawsze pierwszym słowem jest zupełne zwątpienie za-  
równo we własną wartość, jak w siłę własnych zasad.  
Spróbój Pan n. p. zachęcać naszych konserwatystów,  
by zajęli się moralnem wychowaniem młodzieży, by  
wdrażali w jej sumienie przekonanie, że 6-te przykazanie  
Boże tak samo jest obowiązującym, jak 5-te lub 7-me,  
a z pewnością usłyszysz Pan od nich, że moralne wy-  
chowanie jest utopią, złudzeniem, że dostępnem jest  
ono zaledwie rzadkim jednostkom i że dlatego stron-  
nictwo konserwatywne daleko szerzej i skuteczniej przy-

czyni się do moralnego zdrowia społecznego, jeżeli zabierze się do dobrej organizacyi domów rozpusty!

Pytam się, czy jest rzeczą najpoważniejszego organu konserwatywnego w Królestwie, zniechęcać wszelkimi sposobami ludzi dobrej woli od podjęcia działania, którego dobre skutki nie podlegają najmniejszej wątpliwości, bo są kilkunastoletniem sprawdzone doświadczeniem? Z pewnością, że podobnego stanowiska nie zajęłyby nigdy ani *Prawda* względem p. Świętochowskiego, ani *Nowa Reforma* względem p. Romanowicza, ani *Naprzód* względem p. Daszyńskiego, ani *Głos Narodu* względem ks. Słojalskiego.

Co może pomódz życzenie, by działalność moja znalazła jak najwięcej naśladowców, jeżeli działanie to przedstawia się im jako coś nieprzystępnego, pozbawionego siły żywotnej, jeżeli się im tłómaczy, że *pod tym względem nie oddajemy się nadmiernemu optymizmowi, bo w życiu praktycznym aż nadto często na to patrzyliśmy, że stósunek pomiędzy wierzącym a dłużnikiem nie zawsze był serdeczny.*

Pytam się, jaka jest możliwość uczciwej pracy i uczciwej propagandy w tym kraju, jeżeli lada pustym, szablonowym frazezem podaje się w wątpliwość owoce kilkunastoletniego doświadczenia? Czyż kierownicy konserwatywnej prasy mieliby się obawiać może, by konserwatywne żywioły, wchodząc na stały grunt pracy społecznej, nie wyzwoliły się z pod panowania czczego gazeciarskiego frazesu?

»Nie wierzymy« — pisze pan A. D. — »aby na tej drodze można rozwiązać kwestye kredytu dla drobnej własności ziemskiej wogóle...« Pomoc indywidualna, udzielana w formie zaprojektowanej przez hr. Moszyńskiego, może tu

i owdzie osłabić klęskę lichwy, trapiącej drobną własność ziemską, ale jej nie usunie.«

Bardzo wieszczę panu A. D., że w swojej tece znalazł receptę na zupełne usunięcie klęski lichwy, trapiącej ludzkość od tysięcy lat. Dla mnie, już bardzo jest rzeczą pocieszającą, jeżeli Bóg pozwoli nam wpaść na skromne pomysły, osłabiające klęskę lichwy i spajające ze sobą organicznie pojedyncze warstwy społeczne.

Ze świętą grozą piętnuje pan A. D. moje zdanie,

»iż w miarę, jak zbiorowe instytucje rugują ze społeczeństwa indywidualną inicjatywę i działalność, występuje w najniższych warstwach społeczeństwa coraz to straszniejsza nędza, połączona z zupełnem moralnem zdziczeniem i zbydlęceniem natury ludzkiej, wytwarzająca najwstrętniejszy proletaryat, nawet w tak cywilizowanem społeczeństwie, jak angielskie.«

A przecież zdanie to nie powinno było tak bardzo zgorszyć pana A. D., który jest przekonany, że

»aby inicjatywa hr. M. istotnie była skuteczną, na to nie pomoże proganda w broszurce i w prasie, trzeba by agitacji osobistej, wędrówki od dymu do dymu zamożniejszego obywatelstwa.«

Uznaje tu bowiem pan A. D., że osobista agitacja i wędrówka, a więc wpływ czysto indywidualny, posiada tak wielką siłę, że może wyrzucić dobry skutek tam nawet, gdzie bezsilnymi są zupełnie środki oddziaływania, pozostawione nam do dyspozycji przez zasadę zbiorowości. To też pan A. D. nie osłabił w niczem mojego przekonania, że zarówno w Anglii, jak w Niemczech, socjalizm szerzy się coraz bardziej,



w miarę, jak monopol stowarzyszeń wytrąca społeczeństwu najsilniejszy oręż z ręki, t. j. oręż indywidualnego wpływu i działania.

Postanowiwszy niedopuszczyć szerzenia się mojej myśli wśród naszego społeczeństwa, a nie znajdując do tego argumentów, czerpanych z wyrażonych przeze mnie poglądów, uciekł się pan A. D. do polemizowania ze mną o instytucye, których ani jednym nie zaczępiłem słowem. I tak, zupełnie niespodziewanie spadła pod moim adresem obrona spółek Raiffeisenowskich, których ani nie atakowałem, ani nawet nie miałem sposobności atakować, chociażby dlatego, że pan A. R. nie te spółki, ale kasy pożyczkowe gminne, uważał za lepsze od proponowanego przezemnie kredytu. Zresztą nie jest moim zwyczajem atakować fikcyjnego nieprzyjaciela, a za takiego musiałbym uważać spółki Raiffeisenowskie, z których działalnością nigdy się w praktyce nie spotkałem. Również nie dobrze rozumiem, co dało powód panu A. D. do brania w obronę przedemną Księstwa Poznańskiego, o którym ani jednym nie wspomniałem słowem, stósunki bowiem tego kraju za mało mi są znane, żebym się mógł na nie powoływać. Nie są one dla mnie jednak tak zupełnie obcemi, żebym miał przyjmować za dobrą monetę pierwszą lepszą utartą dziennikarską blagę. Otóż n. p. nie dalej jak w lipcu r. z. dowiedziałem się z prelekcji mianej w Krakowie przez jednego z najgorliwszych propagatorów kredytu włościańskiego w Księztwie Poznańskiem, że prawie cała działalność w tym kierunku spoczywa w rękach księży, do tego stopnia, że nawet odzywają się głosy, czy tak ogólne oddanie się absorbującemu, a bądź co bądź ziemskiemu działaniu, nie dzieje się kosztem duchownych obowiązków księdza.

Szanowny prelegent sam do pewnego stopnia uznawał słuszność tej obawy, a wyrażał tylko nadzieję, że z czasem wyrobią się wśród społeczeństwa świeccy kierownicy kredytowych spółek, uzdolnieni do kierownictwa zarówno moralnie, jak umysłowo. Jeżeli więc w Poznańskim spółki kredytowe rzeczywiście dla społeczeństwa przynoszą korzyść, to byłoby to tylko potwierdzeniem mojego przekonania, że jedna tylko instytucja zdolną jest poświęcać się, szafując cudzym groszem, a tą jest duchowieństwo katolickie.

Za to pozwoliłbym sobie zrobić wielki znak zapytania nad tą sławioną przez pana A. D. działalnością zbiorową w Poznańskim,

»dzięki której harmonia pomiędzy różnemi warstwami społecznymi jest tak silną, że nawet zawodowi wichrzyciele nie zadowoleni z tego.«

O ile bowiem dochodzą mię wieści od obywateli ziemskich z tamtych stron, prawie wszystkie zdają się one potwierdzać fakt zupełnego rozerwania wszelkiej spójni społecznej pomiędzy dworem a włością. Chłop żyje obok dworu, nie troszcząc się w najmniejszej mierze o jego ekonomiczną siłę i dobro. Cała robocza ludność opuszcza na całe lato gromadnie swoje zagrody i szuka zarobku w Westfalii, nie dając się skłonić do pozostania na miejscu, nawet równie wysoką ceną najmu. Dworskie pola obrabia po większej części robotnik z Królestwa lub z Galicyi. Ta, tak zwana harmonia, jest rzeczą czysto zewnętrzną, polityczną, stworzoną przez »*Kulturkampf*,« nie wychodzącą po za ściany wieców lub wyborczych posiedzeń. A i pod tym względem wyglądają stósunki zupełnie inaczej, jak w sprawozdaniach warszawskich dzienników. Dość



wspomnieć niechęć ogólną włościan przeciw dozwolonej prywatnej nauce języka polskiego, z powodu kosztów, które ta za sobą pociąga.

Jeżeli starałem się unikać przykładów czerpanych z Poznańskiego, a to jak powiedziałem, z powodu niedostatecznej znajomości tamtejszych stosunków, to tem śmieiej powoływałem się na przykład Galicyi, którą znam prawie równie dobrze jak Królestwo Polskie. Wypowiedziałem więc między innemi zdanie, zupełnie zgodne z prawdą, że ruch socjalistyczny w Galicyi wywołanym był sztucznie przez

»instytucye kredytowe, tworzone w celu polepszenia bytu włościan i zaprowadzenia harmonii społecznej.«

Tymczasem pan A. D. przyczepia się do

»założonego na spekulacyą i prowadzonego przez żyda Łazarusa smutnej pamięci Banku włościańskiego we Lwowie,«

o którym ani jednym nie wspomniałem słowem i stara się tym argumentem wywrócić słuszność mego twierdzenia. Czy to jest uczciwy sposób polemiki? Niech na to własne odpowie mu sumienie. Kto zna Galicyą, ten wie o tem dobrze, że nie mówiąc o indywidualnych wyjątkach, niema tam ani jednej biurokracyi, czy to rządowej, czy sądowej, czy autonomicznej, czy nawet stworzonej przez tak konserwatywne żywioły, jak towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń, która nie byłaby wojownikiem materialistycznego postępu i liberaralizmu i przedświtem ruchu socyalnego.

Przecież te biurokracye stanowią główny kontyngens wyborców, którzy zapewniali zwycięstwo Weiglom i Sokołowskim, na to, by torować ścieżki dla Daszyńskich i Kozakiewiczów.



Na zakończenie zbiera mię ochota zapytać się pana A. D., dlaczego nie oszczędził sobie danego mi kazania, że

»dla wykształcenia serca, woli i charakteru najprostszego ludu, dobrą książkę, a przedewszystkiem książkę do nabożeństwa uważamy za potrzebną, w tym celu zaś szkoła, któraby najuboższego nauczyła czytać, pisać i rachować, chyba jest niezbędną.«

Nietylko bowiem nigdy ze zdaniem tem nie zosta-  
wałem w sprzeczności, ale poważylbym się co więcej  
wyrazić życzenie, żeby szkoła nietylko mogła nauczyć  
czytania ale czytania uważnego, a szczególnie zaś tych  
ludzi, którzy czują powołanie do krytyki. Gdyby szkoła  
odpowiadała temu postulatowi, to nie byłby pan A. D.  
przeoczył, że bynajmniej nie żądam zniesienia szkoły lu-  
dowej, lecz nadania jej charakteru *»pomocnicy proboszcza dla szerzenia wśród ludu zasad moralności.«*

Pan A. D. zapewnia, że chodziło mu w całej tej krytyce, tylko o

»wyjaśnienie własnego stanowiska w kwestyach praktycznych«

na dużo bowiem moich zasadniczych poglądów naj-  
zupełniej się pisze. Po co ten faryzaizm? Czyż nie  
prościej byłoby wyrzec otwarcie:

»Moszyński przekonany jest, że dobro społeczne  
zależy od siły i wartości moralnej jednostek, stworzo-  
nych na obraz i podobieństwo Boże. Jest on dość na-  
iwnym, żeby wierzyć w to, że siedmiu sprawiedliwych  
może w obliczu Boga uratować od zagłady najwięcej  
pogrążone w zepsuciu społeczeństwo. My filary opinii  
publicznej oświeconego XIX wieku nie damy się łapać  
na takie mistyfikacye. My wierzymy w nieśmiertelne  
zasady materialistycznego postępu, wierzymy w to, że

spółceństwo. w którym niema ani jednego człowieka, zdolnego do najblachszego poświęcenia się dla dobra bliźnich, wyda z siebie całe zastępy ludzi poświęcających się, z chwilą, gdy połączymy ich szablonem statutów i każemy im szafować cudzym groszem.«

W imię tych przekonań wysila się dziś najpoważniejszy organ konserwatystów warszawskich, by podkopać i utrudnić działanie moje, skierowane do wciągnięcia ludzi dobrej woli do chrześcijańskiego społecznego działania.

To też nie biorę za pióro, by przekonywać ludzi, którzy nie chcą być przekonanymi, ja podnoszę dziś głos, by zaprotestować wobec Boga i potomności przeciwko krzywdzie wyrządzanej dobru naszego narodu, podnoszę głos, by zaznaczyć, że na was, a nie na stronnictwa przewrotu spadnie główna za to odpowiedzialność, jeżeli antagonizmy socyalne rozszerzą się w naszym społeczeństwie i rozsadzą resztę naszej narodowej siły.

Z wysokim szacunkiem

*Jerzy Moszyński.*

Łonów, 7 marca 1898 r.



AKSIORNIAR  
ANLYKWARAT



1920





\*KSIEGARNIA\*

ANTYKWARIAT



Nr 623685

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



WYŻSZA SZKOŁA  
PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

119939

Biblioteka WSP Kielce



0155243